WIDNOKRĄG

8 (762)
21 lutego 1984 r.
RZESZÓW

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE:

— MIECZYSŁAWA TEODORCZYK: We wsi, w gminie w województwie

— TADEUSZ PIEKŁO: Kwadratura kwadrygi

— JAN GRYGIEL: Wieczory w Moskwie

— ZBIGNIEW KREMPF: Zanim zobaczymy znowu Borewicza i Zubka

— Kultura w roku 40-lecia Polski Ludowej

— Rozmowa z TADEUSZEM HOŁUJEM, prezesem krakowskiego oddziału ZLP

— Wiadomości samowolne, felietony.

Jan Bolesław Ożóg

Nad grecką granicą

Południową granicą Albanii
uwoził mnie biały fiat ambasadora.
Z greckich brzegów przez gąszcze potoku
z lilią w ręku płakała mi Kora.

Rozwiewała się biała sukienka,
odchyliła się w lilii korona
i rzuciła ją Kora za siebie
i łykała łzy jak moja żona.

Mogłem drzwiczki otworzyć, wyskoczyć,
tylko w potok jeden i dwa kroki
i za wodą przejrzystą, przeczystą
zgubiony za panną podnieść kwiat wysoki.

Pod granicą albańską i grecką,
gdy samochód przystanął w tej stronie,
przeleciały pszczoły i gołębie
z Albanii do Grecji na zielone błonie.

Nie uznają kordonów i granic
ptaki i motyle nad tamtą doliną.
Za rzuconą, zapłakaną panną
białe lilie po potoku płyną.

Fot. CAF — JERZY JANOWSKI

Krystyna Świerczewska

Gdzie jesteś inteligencie?

W DYSKUSJI NA TEMAT KONDYCJI POLONISTY, SPORÓW O PROGRAM JĘZYKA POLSKIEGO W SZKOŁACH ŚREDNICH RÓŻNEGO TYPU UDZIAŁ WZIĘŁY POLONISTKI: **IRENA FORCZEK** Z PAŃSTWOWEGO LICEUM SZTUK PLASTYCZNYCH W RZESZOWIE, **BARBARA KANIK** Z III LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO W RZESZOWIE, **RYSZARDA ŻARKOWSKA** Z ZESPOŁU SZKÓŁ ZAWODOWYCH NR 1 W MIELCU, ORAZ **CZESŁAWA SZETELA** — PREZES TOWARZYSTWA LITERACKIEGO IM. ADAMA MICKIEWICZA. WIDNOKRĄG REPREZENTOWAŁA RED. **KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA.**

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA: — Moglibyśmy zacząć od cytatu wyjętego z mojego artykułu przed roku na ten sam temat, o którym mamy znowu mówić dzisiaj pt. „Polak mały — Polak duży", gdzie pani Czesława Szetela powiada, że „nauczyciel nie może być chłodnym wykonawcą pewnych czynności na lekcji", albo gdzie obie zapytujemy: „Jak stworzyć takie kompendium szkolnej wiedzy literackiej, które dawałoby mocne zręby kulturowe, pozwalało pozostać w kręgu narodowym, z wielkimi horyzontami myśli"... Moglibyśmy też zacząć od tego, że niektóre z nas tutaj były pierwszymi ofiarami reformy jedenastolatki, owoczesnej zmiany programów nauczania. Albo że pracujecie według programu zatwierdzonego przez resort w 1971 roku i że leżą przed nami dwie instrukcje do tego programu, wydawane w ciągu dwóch lat: pierwsza „Instrukcja programowa dla liceum i technikum „Język polski" z 24 czerwca 1981 oraz druga „Instrukcja programowa dla liceum ogólnokształcącego, technikum i liceum zawodowego" z 15 lipca 1983 r., która dotyczy „wszystkich późniejszych instrukcji modyfikujących treści nauczania języka polskiego w tych typach szkół" i tym samym stanowi instrukcję do instrukcji...

Ale ja zacznę pytaniem prostym: czy po ukończeniu szkoły średniej, wychodzi z niej inteligent?

WSZYSTKIE PANIE UNISONO: — Powinien wyjść...

BARBARA KANIK: — Najgorsze są pytania proste! Co to w ogóle znaczy dziś inteligent!?

RYSZARDA ŻARKOWSKA: — Inteligentem jest inżynier i sklepowa, jeżeli skończyła technikum, a więc szkołę średnią.

CZESŁAWA SZETELA: — Mnie się wydaje, że inteligent — to dziś słowo anachroniczne; chodzi o kulturalnego człowieka.

IRENA FORCZEK: — Po prostu pojęcie się zdewaluowało i dorobiło form słowotwórczych — półinteligent, ćwierćinteligent.

K.Ś.: — Ale istnieje warstwa inteligencji i obiegowe: „a przed wojną, po maturze wychodził ze szkoły inteligent"! Więc spróbujmy nie dewaluować pojęcia, tylko podłożyć pod nie konieczną zawartość.

Cz.Sz.: — No więc zacznę: żeby delikwent miał sprawność językową, podwaliny wiedzy osobowość, reprezentował wartości moralne które składają się na pełnego człowieka,

R.Ż.: — Przede wszystkim — człowieka! Może nawet mniej umieć, ale być człowiekiem, dla którego ważne są wartości moralne; ja osobiście przebaczę mu błąd rzeczowy, ale niech czuje sercem, niech istnieje w nim trwale wytworzony głód na życie i niech ma przyzwoite potrzeby intelektualne.

I.F.: — Niech nie będzie głuchy na dźwięk, ślepy na kolor, a więc wrażliwy estetycznie, niech nie zasypia nad książką, niech nie woli filmu „Doktor Judym" od Juryma Żeromskiego, dlatego tylko, że powieści nie da się przeczytać w półtorej godziny.

B.K.: — Właśnie. Niech zna podstawowy kanon lektur! Czy panie sobie wyobrażają inteligenta bez znajomości III części „Dziadów"?

K.Ś.: — Właśnie! Zastanówmy się, czy można być inteligentem bez znajomości III części „Dziadów"?

W TYM MIEJSCU UNISONO: — Chyba nie...

K.Ś.: — Chyba nie... Ja znam paru inteligentów, którzy nie znają „Dziadów" i zupełnie dobrze poruszają się w rozmowie nawet na temat romantyzmu oraz najnowszych prądów w malarstwie. I oni mówią, że im szkoła zagniotła „Dziady" i że polonistka była do niczego...

I.F.: — Proszę pani, w Rzeszowie uczy języka polskiego w szkole podstawowej moja uczennica, która nie zdała matury!

F.Ś.: — Ale też muszę pani powiedzieć, ciągnąc myśl dalej, że oni nie czytają książek W ogóle. Nawet do poduszki, ponieważ oni bardzo dobrze śpią.

B.K.: — Więc to nie mogą być inteligenci, ani nawet jak chciała Cesia — ludzie kulturalni.

K.Ś.: — Więc to są ćwierćmagistrowie, doskonali tylko w swoich specjalnościach?

R.Ż.: — I tu chciałoby się zacytować aż dwa razy Saint-Exupery'ego: raz, że **„zbyt wiele ludziom pozwala się spać"** i dwa, że **„Istotą świecy nie jest wosk, który pozostawia plamy, lecz światło".**

Zostałam polonistką, bo w Jarosławiu uczyła mnie pani Aniela Jenke, wspaniała polonistka, a na studiach słuchałam wykładów prof. prof. Sławińskiej i Zgorzelskiego. Cytat z Exupery'ego dookreśla metodę nauczania: nie co, ale jak. Można mówić o miotle i porwać słuchaczy. Znany polonista Bortnowski też twiedzi, że nauczyciel jest jak komiwojażer: ma dużo rzeczy do sprzedania, czasem nawet tak potrzebnych jak grzebień łysemu i musi umieć je zachwalać.

CZ.SZ.: — Podjęłyśmy nowy temat, dlaczego zostałam polonistką? Mnie też pytacie o to. A więc dlatego, że dla mnie i mego ojca był to zawód wspaniały, wręcz posłannictwo, tkwiące w tradycji narodowej, że po książkę chodziło się nawet przez zaspy śniegu do drugiej wsi, czytało się ją z nabożeństwem, była dla mieszkańców Dobrzechowa jedynym oknem na świat.

B.K.: — A potem, Cesiu, słuchało się profesora Kleinera, tego samego, którego wykładów słuchał mój ojciec, polonista gimnazjum stanisławowskiego; do dziś przechowuję jego bibliotekę, niestety niekompletną i do dziś nie żałuję, że poszłam w jego ślady.

I.F.: — Czy chcecie powiedzieć, że do tego zawodu idą najlepsi? Przecież to nieprawda. Ten zawód dawno stracił autorytet...

K.Ś.: — Więc co, idą najgorsi?

I.F.: — Najgorsi idą wszędzie, więc nie o to idzie. Ale o to, że u nas nikt przeciętny nie chce robić przeciętnego chleba, tylko od razu chce robić za geniusza. Nie wykształciliśmy pokoleń na miarę możliwości intelektualnych: przeciętne dziecko nie chce być przeciętnym zwykłym obywatelem, który dobrze wykonuje obowiązek. Być nauczycielem licealnym — to żadna pozycja. Idą więc najpierw na medycynę, elektronikę, a potem, gdy tam się nie uda, przerzucają się na polonistykę, bo to się zawsze jakoś tam wystudiuje. Jestem polonistką z wyboru i pewne rzeczy mnie oburzają, które dzieją się wokół tego zawodu, nie od dziś zresztą. Np. gdy podnosi się pensję urzędnikowi w gminie o dwa tysiące — nikt tego nawet nie wie; gdy to samo spotka nauczyciela, cała Polska huczy i grzmią środki masowego przekazu. I dzieje się tak od 1913 roku, kiedy wdrażano pierwszy program nauczania z języka polskiego, gdzie nakazano przerobić np. „Trylogię", że zawsze mówi się poloniście, co ma nauczyć, a czego nie. Odbieram to jako działanie przeciw poloniście, któremu się nie wierzy, któremu się klamruje proces nauczania, któremu się mówi: na „Lalkę" powinieneś zużyć 6 godzin, tyleż samo na „Nad Niemnem". Jest to dla mnie brak zaufania do umiejętności nauczyciela. Jeżeli dołożyć do tego, że każdy zakręt polityczny weryfikuje program...

Cz.Sz.: — Program układa się nie po to, żeby ograniczać, ale żeby pomagać nauczycielowi.

I.F.: — Ja rozumiem, że jest to punkt widzenia niegdysiejszego wizytatora, ale wierzgam, kiedy się mnie ogranicza naiwnie. W ogóle akurat nie biłabym się specjalnie o kanon lektur, który wzbudził tyle niezdrowych afektów, ale **o ilość godzin zgodną z ilością treści.** Moje liceum ma I i II klasę zgodną z rozkładem zajęć innych liceów — to znaczy 4 godziny tygodniowo, ale w IV i V klasie są już tylko 2 godziny tygodniowo. Treści przyrastają więc, a godziny się kurczą.

B.K.: — Oczywiście. Doszła ogromna ilość tekstów literackich i dalej jest bieda z nauką języka; nam polonistom, cała ogromna sfera „przyliteracka", muzyka, plastyka, teatr, filozofia przecież ogromnie przyrosła! Kiedy to robić, jak to zmieścić? I czy nie wypada zapytać z lękiem, czy wszyscy poloniści muszą znać Bacha, Pendereckiego, Kantora czy Grotowskiego? Umieć przekazać, nawet gdy już znają, bardzo specjalistyczną wiedzę, pozapolonistyczną?

R.Ż.: — Przed paroma laty na łamach „Literatury" prof. Jan Sławiński poruszył mnie określeniem własnym koncepcji roli i osobowości nauczyciela polonisty, że jest to światły dyletant w nauce interdyscyplinarnej. Bo któż jest w stanie osiągnąć poziom wtajemniczenia specjalisty w tylu dziedzinach wiedzy i sprawności?

Więc ja dalej jednak stawiam w centrum uwagi literackie dzieło sztuki! I za podstawę kształcenia polonistycznego uważam pracę nad doskonaleniem odbioru literackiego oraz pracę nad własną sprawnością językową ucznia, które wzajemnie się przecież warunkują.

Ale tu wykrzyżia się trudność: rzesze młodych Polaków maja i sprawność językową i przygotowanie do samodzielnego uczestnictwa w kulturze wciąż znacznie poniżej słusznych społecznych oczekiwań. Więc co? Szukać winy w nauczycielu, w organizacji systemu oświatowego czy w autorach programów? Czy szukać drogi prowadzącej zarówno od dobrze — ku lepiej, jak i od źle — ku lepiej? I zrewidować system pomocy naukowych, podważalność noty, stawianej przez nauczyciela, od której zawsze jest możliwość odwołania i pośpiesznego poprawienia tuż przed klasyfikacją, ilość godzin poświęconych na poszczególne przedmioty według ich wagi wychowawczo-rozwojowej...

I.F.: — Oczywiście, że tędy droga. Wiecie przecież, że na pięć rzeszowskich liceów — w jednym prowadzi się tylko wychowanie muzyczne: rosną więc szeregi głuchych na dźwięk. Nie ma prawie w ogóle nauczycieli wychowania plastycznego w szkołach podstawowych, zamiast nauki rysunku jest wychowanie techniczne.

B.K. — I może lepiej byłoby zamiast nowego programu opracować nowe podręczniki?

J.F. — I zwykłą antologię tekstów, która służyłaby latami? I rzeczywiście stwarzała możliwość sensownego wyboru każdemu nauczycielowi.

B.K.: — Na jakich podręcznikach pracujemy, które narzucają ten wybór? Nowy podręcznik do I klasy Krajewskiego ma zupełnie chybiony wybór „Trenów", nie ma najpiękniejszego Trenu VII, lekceważy się w nim wybór między „Monachomachią" a „Myszeidą", bo nie ma w nim „Myszeidy". W III klasie „Młoda Polska" Jakubowskiego i „Dwudziestolecie" Matuszewskiego — to jest papka, niepełna analiza, niepełna interpretacja, gotowy, obrobiony utwór literacki, który narzuca przecież taki właśnie model myślenia. A w IV klasie? Z Baczyńskiego żaden wybór, w ogóle nie ma poezji miłosnej, „Elegii o chłopcu polskim". Z Miłosza nie ma fragmentów znaczących z „Traktatu moralnego" — są najsłabsze jego wiersze.

R.Ż.: — A co robi „Cezas"? Gdzie są filmy? Na tych pocerowanych kopiach?

I.F.: — Albo jak wyświetlać filmy na aparacie projekcyjnym 32 mm, skoro kręcone są na taśmie 36 mm? A tylko na zakup pierwszych szkoły otrzymały pozwolenie.

B.K.: — Jak korzystać z epidiaskopu nawet, skoro trzaskają żarówki i nie ma nowych?

R.Ż.: — Jak pokazywać kolor u impresjonistów, skoro wydaje się impresjonistów w czarno-białych reprodukcjach? Gdzie zdobyć poza tym np. kilkanaście bodaj egzemplarzy „Ferdydurke" czy „Sklepów cynamonowych" skoro w instrukcji jest możliwość wyboru między Gombrowiczem a Schulzem, a w niejednej bibliotece po jednym egzemplarzu tych autorów?

Cz.Sz.: — Wysypałyście panie worek skarg i zażaleń na pomoce naukowe, a przede wszytkim na podręczniki. Co do tych ostatnich — to prawda od dawna znana, że podsuwają uczniowi watę słowną, czyli niepełne, powierzchowne interpretacje i nigdy nie potrafią zastąpić przyzwoitych antologii.

B.K.: — Oczywiście, w końcu my umiemy interpretować, przeto nam nie trzeba gotowych i niepełnych interpretacji, lecz tekstów do wyboru.

K.Ś.: — Wracając jednak do tematu — o ten wybór właśnie toczy się spór zajadły i na najwyższym szczeblu. Przede wszystkim o współczesność interpretowaną w szkole Artur Sandauer np. chce zamknąć w klatce co najmniej całe 30-lecie literackie: byłby spokój. Ale też zaraz minister Faron protestuje w imieniu tych, co zarzuciliby wówczas szkole absolutne nieprzystosowanie do samodzielnego wejścia młodzieży we współczesne jej życie literackie.

I.F.: — Ze współczesnością są zawsze kłopoty. Były i będą. Czy pani wie, jaki byłby wrzask, gdyby wyrzuciło się np. „Biblię" ze szkoły? Ale jak ją się przerabia, ile się z niej przerabia, na jakich tekstach istnieje możliwość jej przerabiania to już nikogo nie obchodzi. A ja zawsze ją robiłam, bo w końcu w Liceum Sztuk Plastycznych, czy można było milczeć na ten temat, skoro ten motyw tak bardzo ongiś dominował w malarstwie i tak je inspirował? Idzie o to jednak, by zakręty polityczne nie wpływały radykalnie na wybory artystyczne.

Cz.Sz.: — Bo to właśnie stwarza niezdrowy szum informacyjny, miesza w głowie i rodzi postawy buntu u młodzieży.

B.K.: — A ja zacytuję w tym miejscu posła Jaremę Maciszewskiego, autorytet w tworzeniu programów, z wypowiedzi przedrukowanej w „Oświacie i Wychowaniu".

„...niektórzy poprawiacze programów chcieliby jeden kawałek prawdy zastąpić drugim. Np. jakiegoż to „Kordiana" pokazał nam w telewizji Hołoubek, gdy brakło w nim sceny u papieża" ...

I dalej:

„Osobiście wsadziłbym do kanonu „Rano przyszedł huragan" Władysława Machejka, ale pominąłbym „Wrzesień" Putramenta, dając w to miejsce „Bołdyna".

To też jest zastępowanie jednego drugim niestety.

Ja mam jednak większy problem: w instrukcji jest w IV klasie do wyboru w dziale: „Proza paraboliczna" właśnie „Bołdyn" albo „Dżuma" Camusa...

R.Ż.: — Żeby już trzymać się cytatów z Saint Exupery'ego:

„Żeby widzieć jasno, wystarczy zmienić perspektywę".

Jako światły dyletant powinna bym mówić o neurolingwistyce także...

K.Ś.: — Przepraszam, że przerwę, ale wyjaśnijmy ten termin.

I.F.: — Metoda leczenia dźwiękiem. I to jest w klamrze, więc można sobie podarować...

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

Mieczysława Teodorczyk

We wsi, w gminie w województwie...

W Świebodnej w gminie Pruchnik wiele się robiło i robi w czynie społecznym, bez oglądania się na gminę i województwo. W Świebodnej mówi się: „Jak sobie sami nie pomożemy, to manna z nieba nie spadnie". Mieszkańcy tej wsi mają jednak świadomość, że nie wszystko w dzisiejszych czasach można zrobić bez pomocy finansowej z zewnątrz.

Przez wieś prowadzi położony przez mieszkańców asfaltowy dywanik. Na zboczu jednego ze wzgórz klub „Rolnika" — czworokątna rudera, ale z jaką pieczołowitością podpierana, odnawiana i remontowana przez młodych i dorosłych jej mieszkańców. Duszą wszystkich poczynań kulturalnych w Świebodnej jest pani Augustyna Wańkowicz. Ileż w niej serca do pracy społecznej, ileż zapału i uporu.

— Wasz klub egzystuje w opłakanych warunkach — mówię do pani Wańkowiczowej zwiedzając z nią budynek.

— Teraz i tak jest dobrze, obiliśmy ściany blachą i pomalowaliśmy na brązowo, by imitowały pliśnię. Wymieniliśmy podłogę, otynkowaliśmy ściany. Naprawiony jest dach. I to wszystko w czynie społecznym.

— Nie mógł by pomóc „GS" w Pruchniku?

— Nie wiem jak to się dzieje, ale każdy z czterech klubów „Rolnika" w tej gminie, przynosi temu przedsiębiorstwu straty, 126 tys. złotych w skali rocznej. A teraz liczą się tylko dochody i to za wszelką cenę...

Z wąskiej, ciemnej sieni wchodzimy do pomieszczeń klubowych. Rzucają się w oczy trzy nowe meblościanki, które ufundował WZKR. Klub, zdobył przecież pierwsze miejsce w wojewódzkim konkursie „O klubowy laur" i na nagrodę zasłużyli...

W Świebodnej, do której trudno dojechać i ciężko się z niej wydostać, bo dociera tam zaledwie kilka autobusów PKS na dobę, ludzie przychodzą do klubu i spędzają tam wieczory. Pani Guścia, bo tak zwracają się do niej świebodzianie, wraz ze swoją liczną rodziną rozwija w Świebodnej ruch amatorski. W zespołach śpiewają, tańczą, recytują i grają całe rodziny. Nierzadko matki i córki, ojcowie i synowie. Córka Wańkowiczowej — Basia prowadzi zespół teatralny. Ona opiekuje się zespołem pieśni i tańca. Młodzi Wańkowiczowie i Wańkowiczówny tańczą i śpiewają w tutejszym zespole folklorystycznym. Dał mu początek zespół śpiewaczy. Założyła go pani Guścia.

— Wychowywałam się w tej wsi. Pokochałam ją, przywiązałam do ludzi. Odwiedzałam ich i wysłuchiwałam starych tekstów, zapamiętywałam melodie. Przekazywali mi ją sędziwi mieszkańcy: Karolina i Władysław Barszczakowie, Walenty Olejarz. Wkrótce powstało widowisko — zarejestrowany fragment świebodziańskiego wesela — „Ocepiny". Do dziś nie schodzi ono ze sceny.

Przez całe lata klubowi amatorzy nie wyjeżdżali poza województwo. W ubiegłym roku wzięli udział w kazimierzowskim festiwalu kapel i śpiewaków ludowych. Nagrody co prawda nie przywieźli, ale co to była za radość spotkać się z takimi jak oni sami, zetknąć się z folklorem innych regionów, porozmawiać o tym jak kulturę ludową krzewić i pielęgnować. Niemałą satysfakcję dały artystom nagrania telewizyjne i radiowe. O tym nawet w najśmielszych marzeniach nie śnili.

To wszystko co Wańkowiczowie i grupa świebodziańskich działaczy we wsi robi jest rezultatem zaangażowania i lokalnego patriotyzmu. Ale to nie wystarczy. Jak najszybciej należy przeprowadzić generalny remont placówki, lepiej wyposażyć, by nie trzeba było już więcej klubu łatać i podpierać, by obiekt ten mógł stać się prawdziwą wizytówką wsi. — Co będzie dalej? — zapytują z niepokojem działacze. Na sesji Gminnej Rady Narodowej w Pruchniku padały zdecydowane głosy, żeby na kulturę nie łożyć. Lepiej zbudować więcej dróg!

WZSR zafundował zespołowi wyjazd do Kazimierza i zakupił wspomniane już segmenty. Cała więc nadzieja w prezesie Związku Stanisławie Żeliszczaku i kierowniczce wydziału samorządu i organizacji Joannie Lach. Obiecali, że jeszcze w bieżącym roku rozpocznie się remont kapitalny budynku.

Rzadki to przykład, by tego typu placówka prowadziła działalność niemalże na miarę domu kultury. Oczywiście odbywają się tam wszystkie imprezy rocznicowe, klub skupia artystki ludowe zajmujące się plastyką obrzędową. Organizuje kursy oświatowe Rzeczą wartą podkreślenia jest to, że na co dzień współpracuje on ze szkołą. Urządza się tu konkursy prac malarskich dzieci. — Taki drobiazg — wtrąca pani Guścia — ale rodziców cieszy. — Przychodzą do klubu, by prace swoich dzieci oglądać...

Istotne jest również to, że zarządzanie placówką nie spoczywa na barkach jednej rodziny Wańkowiczów. Że działa tu prężnie społeczna rada klubu złożona z przedstawicieli wszystkich instytucji i organizacji wiejskich, wśród których prym wiedzie ZMW „Wici". Ta ongiś wielce zasłużona dla kultury wiejskiej organizacja nawiązuje dziś do własnej tradycji, staje się głównym animatorem życia k.o. w małych i większych osadach. Skoro tak właśnie w Świebodnej się dzieje, może bardziej powinien zainteresować się tym Zarząd Wojewódzki ZMW w Przemyślu i wesprzeć w miarę swoich możliwości groszem. Każdy zakup dla tego klubu nawet gier i szachów liczy się podwójnie...

MANNA NIE SPADA Z NIEBA...

Halina Wojdyło, dyrektor GOK w Pruchniku, z najdłuższym stażem w województwie przemyskim, dobrze wie, że w kulturze cudów finansowych nie było, nie ma i prawdopodobnie nie będzie. Fundusz rozwoju kultury niewiele pomógł. Na konto kultury gminnej spływają kwoty wystarczające zaledwie na utrzymanie obiektu.

— Nie mamy grosza na działalność — mówi dyrektorka. — A jeszcze WDK oczekuje od nas, byśmy wypracowali 100 tys. złotych dochodu w skali roku! Czym? W jaki sposób mamy tego dokonać. Ponadto GOK jest wykorzystywany przez naczelnika w sposób dowolny, nikt nie liczy się w gminie z potrzebami i problemami kultury, nikt jej nie docenia. Nie mamy pomieszczeń na działalność fakultatywną, bo co rusz odbiera się nam salę i urządza magazyny lub osadza tam urzędników. Serce mnie boli, bo zabrano nam salę telewizyjną, w której odbywały się próby zespołów. W dużym pomieszczeniu stoi dziś szafa, biurko z telefonem, przy którym powinien urzędować przewodniczący ZG ZSL. Niestety rzadko go tam widujemy. Na drzwiach wciąż wisi kartka, że wyszedł do gminy.. Być może wciąż ta sama kartka... Jeśli jest tak w gminie potrzebny może znalazłoby się tam miejsce na ustawienie biurka dla przewodniczącego? Gdyby się tylko chciało...

GOK jest także punktem wydawania kartek żywnościowych. Sprzątaczka zatrudniona w tej placówce nie nadąża ze sprzątaniem, a naczelnik karci dyrektora GOK za brud. Bo czym jest dziś dyrektor GOK-u w gminie. Tym, czym chce go widzieć naczelnik, człowiekiem do wszystkiego. Bo przecież od jego woli zależy, czy zajmować będzie on to stanowisko. WDK nie ma wpływu na zatrudnianie kadr w gminie.

W zasadzie na prowadzenie działalności i próby została w pruchnickim GOK-u duża, niedogrzana sala widowiskowa i maciupeńki klub „Ruch". W placówce działają dwa zespoły taneczne i teatr nagradzany na międzywojewódzkim turnieju teatrzyków dziecięcych w Rymanowie.

— Zastanawiam się — mówi dyrektorka GOK — po co utworzono gminne ośrodki kultury, po co te statuty, jak placówki swej roli w środowisku nie spełniają, a poza tym otacza się je taką opieką ze strony naczelników... Oprócz mnie w GOK zatrudniony jest choreograf i to wielkie szczęście, bo ma się kto zająć zespołami tanecznymi!

— A więc chyba z ruchem amatorskim nie jest w gminie aż tak źle, skoro choreograf ma pełne ręce roboty.

— Ale nie jest i dobrze... Gmina Pruchnik liczy około 10 tys. mieszkańców. Nie we wszystkich wsiach są placówki kulturalne.

— Nie wierzę, by oprócz Świebodnej nie znalazła się choćby jeszcze jedna podobna wieś w tej gminie.

— Niewiele takich mamy... W Kramarzówce wybudowano piękny Dom Strażaka. — Młodzież skupiona w kole ZMW „Wici" chce założyć klub. Na wiejskim zebraniu sołtys i komendant straży pożarnej wyrazili na to zgodę. Młodzi mają ambicje utworzyć zespół pieśni i tańca; póki co przygotowują kurs tańca towarzyskiego.

— A co pani sądzi o Habowicach?

— Najpierw może o Jodłówce... W tej wsi położono kilka desek na trawie i jest to centrum życia kulturalnego... Nie ma placówki, nie ma nawet świetlicy, gdzie młodzież by się mogła spotkać, a mieszkańcy są chętni i życzliwi dla kultury. Habowice natomiast to przypadek szczególny. Jest tam piękna świetlica, ale ludziom nie zależy na tym, aby działała. To wieś bogata, produkcyjna, za kulturą nie tęskniąca. Takie to w jednej gminie paradoksy... Ciekawa jestem, iluż mieszkańców Pruchnika wypowiedziałoby się za utrzymywaniem GOK? Na imprezy przychodzą niechętnie, a oceniają go surowo... Bo kultura w gminie jest niestety piątym kołem u wozu.

SPOJRZENIE Z WYSOKOŚCI WDK

W klubie „Piwnice" przemyskiego WDK toczy się niezbyt optymistyczny dyskurs między dyrektorami Wojciechem Władyczynem i jego zastępcą Stanisławem Czekanowskim.

— By wzmocnić teren przeprowadziliśmy weryfikację placówki. Pozostało 18 GOK-ów z 2—3 pomieszczeniami i salą widowiskową, placówki, które robią nadzieję na jaką taką działalność. Trzeba było skończyć z fikcją i powoływaniem GOK-ów jednopokojowych przy urzędach gminnych.

— WDK wciąż. musi walczyć o środki. — Fundusz Rozwoju Kultury niewiele zmienił na lepsze. GOK-i też nie zyskały... Kolegium dyrektorskie wojewódzkich domów kultury przy Ministerstwie Kultury i Sztuki badało niedawno stan kadrowy placówek w kraju. W tym względzie istnieją poważne dysproporcje np. WDK w Skierniewicach posiada 30 etatów, a w Szczecinie — 300. Dysproporcje istnieją także w przydziałach środków.

W „Widnokręgu" z dnia 14 stycznia br. czytamy: *„FRK w województwie rzeszowskim wyniósł 774 mln 517 tysięcy złotych. Niektórzy dyrektorzy placówek mówią po cichu o zadławieniu pieniądzem"*. Taki cud nie dotyczy placówek województwa przemyskiego. Dotacje nie przekroczyły tam 300 mln złotych...

A inne problemy? Jak zahamować fluktuację kadr w województwie, która w skali roku wynosi 70 proc.? W jaki sposób pokonywać rynkowe trudności związane z zakupem sprzętu? W jaki sposób przyśpieszyć trwające remonty? Co zrobić, by ekipy budowlano-remontowe podejmowały się z chęcią prac w obiektach? To pytania, na które, nie zawsze znajdują odpowiedzi władze kulturalne województwa.

Wreszcie problem tak samo ważny, jak wymienione, a może najważniejszy.

— Pozycja dyrektora GOK w gminie — mówi dyrektor Władyczyn jest niska. — Naczelnicy nie liczą się z problemami placówek, z tym, że również one mają poważne zadania do spełniania i obowiązki wobec mieszkańców gminy. W rozległym województwie zaledwie kilku naczelników interesuje się działalnością kulturalną placówek. Uwaga ta dotyczy gminy Babice, Krzywcza, Horyniec, Radymno. Naczelnicy chodzą na imprezy, wspierają nie tylko dobrym słowem, ale i często groszem.

By ułatwić naczelnikom kontakt z placówkami kulturalnymi reaktywowano w woj. przemyskim imprezę „Wczoraj sąsiedzi — dziś partnerzy", która odbywać się będzie pod patronatem wojewody. To zobliguje naczelników do zajęcia się i tymi problemami, może dostrzegą fakt, że chłopi nie tylko sieją i orzą, ale uczestniczą aktywnie w kulturze, byleby tylko odpowiedni stworzyć klimat i warunki.

Tadeusz Piekło

Kwadratura KWADRYGI

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza zaserwowała wszystkim miłośnikom poezji polskiej nie lada gratkę, publikując książkę [1], poświęconą dziejom i dokonaniom jednej z czterech, najbardziej znaczących w dwudziestoleciu międzywojennym grup poetyckich. Mowa o Kwadrydze — grupie powstałej w 1923 roku, w gimnazjum im. Reja w Warszawie.

Kim byli, co zamierzali i czego dokonali kwadryganci? Wokół tej grupy narosło wiele mitów starannie pielęgnowanych i przesadnie podnoszących zasługi artystyczne, ideowe i społeczne Kwadrygi. Dbają o to m. in. niektórzy, żyjący członkowie tej grupy. Po książce Marxa na pewno będą otrażeni dotknięci do żywego, oburzeni i pełni gniewu. Bo też założeniem autora było odbrązowienie mitu, odkłamanie zręcznej legendy. Znany krytyk literacki dokonał tego dzieła z talentem i pietyzmem gromadząc w tomie opracowania bardzo wnikliwe, życzliwe, rozważne (ale i ironiczne), poświęcone czołówce kwadrygantów.

Kwadryga, w praktyce wywodząca się z linii (i korzystająca z doświadczeń) Skamandra — sformułowała swój program wokół sztandarowego hasła „poezji uspołecznionej". Powstające utwory młodzi poeci publikowali na łamach „dość partykularnego" — jak pisze Marx — swojego pisma, a następnie wydawali w osobnych tomach w oficynie F. Hoesicka. Tam właśnie ukazało się sporo tomików „Biblioteki Kwadrygi".

Jan Marx w sposób precyzyjny i świadczący o dużej dozie obiektywizmu prezentuje omówienia poetyckich dokonań czołowej dziesiątki kwadrygantów. Są to: **Stanisław Ciesielczuk, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Stefan Flukowski, Marian Piechal, Nina Rydzewska, Władysław Sebyła, Włodzimierz Słobodnik, Elżbieta Szemplińska, Lucjan Szenwald i Andrzej Wolica.**

Tom zawiera zbyt wiele szczegółowych analiz, porównań, paraleli i ocen wartościujących, by sygnalizujący ukazanie się książki mógł choćby najpobieżniej je przedstawić w krótkim omówieniu. Tym niemniej — gorąco zachęcam Czytelników do przeczytania całości, a zwłaszcza — „Nazywaniem poznanie zastąpić" — rzeczy o wielozn acznej poezji Sebyły, poety znaczącego, tragicznego i po części niesłusznie zapomnianego. Godne skrupulatnej uwagi są też rozdziały poświęcone Dobrowolskiemu, Rydzewskiej, Szemplińskiej i Szenwaldowi. Tym, którzy chcą poznać chemię poetyckich wzlotów i niepowodzeń — polecam lekturę opracowań poświęconych Piechalowi oraz Słobodnikowi. Szkic o tym ostatnim poecie Marx rozpoczyna od przytoczenia żartu Juliana Tuwima z „Jarmarku rymów": „Słobodnik Włodzio, Włodzio Słobodnik / Psuje wierszami każdy tygodnik"...

Praca Jana Marxa obala skutecznie wiele mitów, narosłych latami wokół twórczości członków Kwadrygi. Ukazując staczanie się w serwilizm i skutki, jakie pociąga to za sobą w sferze wartości literackich, poznawczych i artystycznych — Marx nie ucieka się do łatwych dychotomii, osądów i cenzurek. Z wszystko wybaczającym zrozumieniem usiłuje w każdym wierszu doszukać się poetyckiego kruszcu, często nawet wśród złóż pustosłowia i pospolitej waty.

Kwadrygantom — dowodzi Marx — poza kilkoma nie udało się utrzymać kontaktu z rzeczywistością, ani też wyjść poza płaską doraźność. Postulat wiązania poezji z potrzebami życia społecznego, przy jednoczesnej rezygnacji z subiektywnych wzruszeń — poniósł pełne fiasko. Podobnie stało się z tzw. poezją dworską, pisaną pod wpływem doraźnych potrzeb, na „społeczne zamówienie", w czym celowali po wojnie niektórzy kwadryganci. Nie pomogły motywy przyrody, behawiorystyczne opisy urbanistyczno-cywilizacyjne, zahaczanie się o publicystyczny czy sielski ton, natrętna ornamentystyka koturnowo-kostlumowa. Większość wierszy tak pomyślanych i napisanych — to dziś teksty martwe. Dowodzą tego wielusetstronicowe wybory żyjących kwadrygantów, np. Piechala czy Słobodnika.

Znaczną część książki stanowią — co zrozumiałe — przytoczenia fragmentów, bądź całości wierszy. Dzięki temu mniej zorientowany czytelnik będzie mógł wyrobić sobie samodzielny pogląd o poezji członków Kwadrygi — i nie tylko, bo w tomie sporo jest także innych tekstów, pióra autorów znanych dobrze czytającej publiczności, przytoczonych na zasadzie kontrastu, uzupełnień, porównań i swoistych głos.

Ocena Kwadrygi wypada — mimo całej, widocznej życzliwości i dobrej woli Marxa — bardzo surowo. Jedynie Sebyła, Szenwald i Dobrowolski — wg autora — zasłużyli na miejsce w medalowej trójce. Oryginalnie brzmi też tom liryki kobiecej, tj. wierszy Rydzewskiej i Szemplińskiej. Reszta — ... To są w przeważającej mierze wiersze okazjonalne, ilustracyjne, retoryczne". Słowem — „kanon zgrzebności i przeciętności".

Ilustracje (m. in. portrety — dlaczego nie wszystkich? — kwadrygantów, reprodukcje winiet numerów pisma i okładek tomów wierszy, a także rękopisów) oraz noty o autorach — dopełniają całości tej wartościowej i ze wszech miar interesującej książki oraz pasjonującej lektury. Dlatego też czytelnik skłonny jest wybaczyć niestaranną redakcję (powtórzenia dosłowne pewnych zwrotów i opinii, już uprzednio wyrażonych w tekście rozdziałów, poświęconych poszczególnym autorom).

[1] Jan Marx: „GRUPA POETYCKA KWADRYGA", LSW, W-wa 1983, str. 216, 10 tys. + 330 egz., cena zł 90.

Gdzie jesteś inteligencie?

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

R.Z.: — To też sobie pewnie podaruję, skoro młodzież, która zaczyna naukę w technikum jeszcze niedobrze czyta oraz robi błędy ortograficzne. Wolę ich powieźć do teatrów i na wystawy...

K.S.: — Widzieli dzięki temu wszystkie co znaczniejsze teatry Warszawy, Krakowa, Teatr Kantora, „Polaków portret własny". Znane są interdyscyplinarne pasje Ryszardy Żarkowskiej w Mielcu, które pożerają cały jej wolny czas i jednocześnie stwarzają grono uczniów, co już z uniwersyteckiej ławy szukają kontaktów ze swoją byłą polonistką.

R.Z.: — To ja już nic nie powiem...

B.K.: — Ale ja powiem, że wszystko to wiemy o pani w kręgach polonistów rzeszowskich! I powiem jeszcze to, że proponuje się poloniście w tym programie przenieść zakres wiedzy niemal uniwersyteckiej z filozofii czy teatrologii, gdy on sam nigdy nie będzie miał możności wraz z uczniami zobaczyć Teatru Grotowskiego, zupełnie nikłą — Kantora, gdy dla szkół ktoś ostatnio wpadł na pomysł i zorganizował wyjazd na „Hrabinę Maricę", gdy tymczasem w Rzeszowie wiedzie się klasy na „Pchłę" lub „Skiza" i na zajęciach fakultatywnych potem rozszarpują na sztuki byle jakość inscenizacji, bądź repertuaru, na który są skazani. Z teatrologii miał nam pomóc teatr szkolny; mojego liceum nie wytypowano, by brało udział w tym eksperymencie, w którym w ogóle z całego Rzeszowa bierze udział około sześciu szkół...

I.F.: — Basia ma rację; gdyby się chciało realizować serio te zalecenia „przyliterackie", to jaką by człowiek miał możliwość przerobić gruntownie bodaj Traktat Tatarkiewicza „O szczęściu"?

B.K.: — Kierkegaarda czy **„Książeczkę o człowieku"** Ingardena? Hiperrealizm, konceptualizm, malarstwo Nowosielskiego, Kantora, Hasiora, Wróblewskiego czy Linkego? Muzykę baroku, Lutosławskiego, Pendereckiego?

I.F.: — Jesteście w gorszej sytuacji od nas: kiedy mówię np. o literaturze baroku, moi uczniowie mają już za sobą gruntownie przerobioną historię malarstwa barokowego i nie mam już trudności w wytłumaczeniu, co to jest przeładowanie form, rozbuchana ornamentyka; w tym wypadku wy zaczynacie od początku.

Podobają mi się zmiany programowe w nauce o języku, są mądre. Ale z drugiej strony, kto wymyślił tę całą sferę uniwersyteckiego językoznawstwa, które nawet dla studenta polonistyki jest zmorą: ową socjolingwistykę, psycholingwistykę, wprowadzanie pojęć z językoznawstwa stosowanego.

B.K.: — Sama powiedziałaś, że to jest w klamrze i można to przerzucić poza szkołę, na jakieś p o t e m...

Cz.Sz.: — A w ogóle, jak tak was słucham, to wzdycham do onegdajszych czasów, kiedy był w szkole średniej przedmiot zwany propedeutyką filozofii! Czy nie uważacie, że zamiast polonisty-omnibusa, w XX-wiecznej szkole średniej potrzebny jest przedmiot wiedza o kulturze, osobno traktowany?

K.Ś.: — Proszę pani, czy nasza rozmowa o kondycji polonisty i produkcji inteligenta nie zaczyna się przeradzać w propozycje nowych reform? Od źle — ku lepiej i od dobrze — ku lepiej?

Program pozostawia wybór nauczycielowi, od niego zależy ostateczny kształt i jakość nauczania. Z tym się zgodzimy wszystkie. I wszystkim, nie tylko nam, idzie o odblokowanie zdewaluowanego, obrosłego słowotwórstwem, terminu i n t e l i g e n t. Żeby znaczył, co ma znaczyć. I żeby ów inteligent opuszczał szkołę, w której uczycie, otwarty na literaturę, słowo, dźwięk, barwę. Żeby wyłączył wytrychy, pozorne analizy. Żeby wziął rozwód z wszelkimi brykami i brykopodobnymi działaniami teatru i filmu. Żeby przestał myśleć metodą telewizyjnych szumów.

Dyskutuje się po to i po to tworzy się programy...

I.F.: — Raz jeszcze wspomnę o tym programie z 1913 roku, układanym za c.k. Austrii, który mówił na wstępie:

„Nigdzie nie ma szkoły apolitycznej, apaństwowej, austrojowej"...

K.Ś.: — Dziękuję, pani Ireno, za ten wtręt, bo on nam podkreśla świadomość, że w tej domenie jaką jest szkoła nic nie może dziać się poza rzeczywistością. I choć rozmowa nasza bynajmniej niczego nie kończy, tyl. bardziej dyskusji wielorakich i na wielu piętrach, jakie przetaczają się w środowisku nauczycielskim — to przecież część tej dyskusji pozwoliła przenieść na użytek publiczny. Za co też paniom polonistkom serdecznie dziękuję na tym miejscu.

PLANY wydawnicze PWN-84

Państwowe Wydawnictwo Naukowe jest tą oficyną, na której książki czytelnicy czekają z dużym zainteresowaniem. Na jakie pozycje mogą liczyć w tym roku? Na pytanie to odpowiada dziennikarzowi PAP dyrektor PWN — Rafał Łąkowski:

— Zamierzenia nasze są bardzo ambitne. Mamy w planie wiele cennych pozycji z różnych dziedzin wiedzy. Będzie w sumie ok. 900 tytułów w łącznym nakładzie 5 mln egzemplarzy.

Chcemy zwiększyć naszą produkcję w tym roku tak pod względem tytułów, jak i nakładów o 10 proc. Czy się to nam w pełni uda, trudno powiedzieć. Wszystko spoczywa bowiem w rękach poligrafii i od niej będzie zależało urzeczywistnienie naszych zamierzeń.

Pewną nadzieją napawa nas fakt, że plan ubiegłoroczny — jeśli chodzi o nakłady — przekroczyliśmy. Kilku tytułów jednak nam zabrakło. Ale ukażą się one w tym roku.

To, co czytelników najbardziej interesuje — to nasze przedsięwzięcia w zakresie wydawnictw encyklopedycznych i słownikowych. Tutaj jesteśmy pewni dość wydatnej poprawy. Łączny nakład tych tytułów wyniesie ponad 1,5 mln egzemplarzy. Będzie to więc sporo jak na nasze możliwości, ale trzeba przyznać, iż nie zaspokoi rynku czytelniczego, którego zapotrzebowanie na te właśnie pozycje jest szczególnie duże.

I tak zamierzamy w tym roku oddać do rąk czytelników: 300 tys. egzemplarzy jednotomowej Popularnej Encyklopedii PWN, 100 tys. egz. tomu I z nowego wydania czterotomowej Encyklopedii PWN, 230 tys. egz. trzytomowego Słownika Języka Polskiego (po 200 tys. egz. każdego tomu), 200 tys. egz. jednotomowego Słownika Ortograficznego, 100 tys. egz. Słownika Poprawnej Polszczyzny i 200 tys. Słownika Wyrazów Obcych.

Jak widać, jest to lista dość pokaźna. Trzeba do niej dodać jeszcze takie pozycje, jak np. „Literatura polska — przewodnik encyklopedyczny". Całość ta zamierzona jest w dwóch tomach. W br. ma się ukazać tom I w nakładzie 100 tys. egzemplarzy. Książka zawierać będzie hasła dotyczące różnych utworów, od Bogurodzicy poczynając po dzieła literatury współczesnej, okresów literackich oraz twórców.

Zamierzamy wznowić w nakładzie 300 tys. kompletów popularne wydanie 4-tomowej Historii Polski pióra autorów krakowskich. Szykujemy też spore nakłady tak bardzo potrzebnych podręczników do nauki języków obcych. W planach mamy ok. 20 tytułów w łącznym nakładzie ok 50 tys. egzemplarzy.

— Jakich ważniejszych pozycji można się spodziewać z dziedziny historii, filozofii i innych gałęzi wiedzy?

— Z biblioteki klasyków filozofii mają się ukazać dwie pozycje Kanta, w tym „Krytyka praktycznego rozumu", Arystotelesa — „Metafizyka", G. Lukacsa „Wprowadzenie do ontologii bytu społecznego", dwie pozycje Bronisława Malinowskiego: „Wierzenia pierwotne i formy ustroju społecznego" oraz „Zwyczaje i zbrodnia w społeczności dzikich. Życie seksualne dzikich". Interesującą książką będzie praca zbiorowa (w dwóch tomach) pt. „Myśl socjalistyczna i marksistowska w Polsce w latach 1878—1939".

Z dziedziny historii spośród wielu książek wymienić można m. in.: Długosza — „Roczniki czyli Kronika Sławnego Królestwa Polskiego" tom VII, wznowiona zostanie książka Stanisława Broniewskiego pt. „Całym życiem. Szare Szeregi w relacji Naczelnika", zamierzamy też wznowić Jerzego Topolskiego „Metodologię historii". Książka ta otworzy cykl związany z metodologią nauk. Ma się w tym roku ukazać tom I „Historii Sejmu Polskiego", całość tej edycji obejmie kilka tomów. Ciekawą pozycją będzie pierwsze wydanie książki Mariana Stępnia pt. „Polska lewica literacka". W najbliższych dniach powinna ukazać się w księgarniach interesująca publikacja Ludwika Hassa — „O masonerii w okresie międzywojennym". Z cyklu „Dzieje Warszawy" pojawi się w br. tom V obejmujący okres 1939—1945 pióra Krzysztofa Dunin-Wąsowicza. Nasza redakcja „warsawianów" zapowiada także kilka innych interesujących pozycji. Wyliczone książki to tylko niektóre spośród, jak już wspomniałem, ok. 900 tytułów, jakie mamy w planie na ten rok.

— Oprócz tytułów, czytelników interesują także ceny książek. Czy zapowiada się ich dalszy wzrost?

— Niestety, nie da się tego uniknąć. Rzutują tutaj głównie koszty poligrafii, które nieustannie rosną. Powodują one w konsekwencji wzrost cen książek. Staramy się o jedno: aby wzrost tych cen był jak najmniej odczuwany przez studentów — nabywców podręczników, i aby w jak najmniejszym stopniu odbiło się to na cenach książek o najszerszym zapotrzebowaniu społecznym, jak popularne encyklopedie i słowniki języka polskiego. Tę grupę książek staramy się chronić przed podwyżką cen, tym niemniej i tutaj pewien wzrost nastąpi.

Jak już wspomniałem, nasze zamierzenia wydawnicze zależą od poligrafii. Niestety, ma ona ograniczone możliwości. Dlatego też musimy się ratować drukiem niektórych — najbardziej potrzebnych książek, jak np. słowniki języka polskiego — za granicą, a dokładniej mówiąc w Jugosławii. Sami bowiem nie damy tutaj rady. I tak np. część tegorocznego nakładu Słownika Wyrazów Obcych jak też Słownika Ortograficznego jest już gotowa. Te książki, zwłaszcza młodzieży szkolnej, są bardzo potrzebne. I musimy się ratować tą właśnie drogą.

Jak dotychczas pragniemy trzymać się zasady, aby biblioteki szkolne miały pierwszeństwo przy zakupie słowników języka polskiego oraz jednotomowej encyklopedii powszechnej.

— Czy będzie w tym roku wznowiona subskrypcja na nowe wydanie czterotomowej Encyklopedii PWN?

— Nie mogę tutaj dać wiążącej odpowiedzi. Czynimy starania, aby to było możliwe. Czy nam się uda, trudno przewidzieć. Pragniemy, aby tak się stało.

Rozmawiała: DANUTA DRACHAL

Jan Grygiel

Z PODRÓŻY DO ZWIĄZKU RADZIECKIEGO (II)

WIECZORY W MOSKWIE

DO MOSKWY NASZA DZIENNIKARSKA GRUPA przybyła o świcie. Wsiedliśmy do czekającego na nas autokaru, który zawiózł nas do wielkiego, nowego hotelu „Inturist". Tam zastaliśmy już bagaże — przywieziono je przed naszym przybyciem. Gdybym pisał opowieść hotelową, tak jak Wiesław Górnicki kiedyś swoją „Balladę hotelową", to ten rozdział z podróży po Związku Radzieckim byłby prawie jak z baśni. Lokowano nas w komfortowych hotelach, żywiono znakomicie, opiekowały się nami miłe panie z „Inturistu", mówiące świetnie po polsku i dysponujące imponującą wiedzą o miastach, które zwiedzaliśmy. Tak było i w Moskwie. Zamieszkaliśmy w samym sercu stolicy, bo u wylotu ulicy Gorkiego na Plac 50-lecia Października, czyli tuż obok Kremla.

Trafiliśmy na nastrój świąteczny. Moskwa uroczyście witała 66 rocznicę Rewolucji Październikowej. Przez trzy wieczory w dniach 6, 7 i 8 listopada centrum miasta płonęło tysiącami neonów, reflektorów iluminujących zabytki architektury, świetlnymi wielobarwnymi ścianami i płaszczyznami. Ulica Gorkiego w godzinach wieczornych wyłączana z ruchu kołowego zamieniała się w szeroką rzekę wielotysięcznego tłumu ludzi, spacerujących tam i z powrotem, zatrzymujących się na pogawędki, dźwigających „na barana" dzieciaki z balonikami, chorągiewkami, kwiatami...

W tym wielotysięcznym mrowisku ludzkim rojącym się pod oknami naszego hotelu spotykały się całe rodziny, kręgi znajomych, duże grupy młodzieży. Zdałoby się, że trudno tam szpilkę wetknąć. Tłum sunął przy dźwięku muzyki i pieśni płynących z głośników w kierunku Dworca Białoruskiego, wpatrywał się w elektroniczne, migotliwe gazety na murach.

W dniu 7 listopada zaproszono nas na wielki wiec na Placu Czerwonym. Znów wielotysięczne tłumy z transparentami przywódców, z flagami wypełniają całe otoczenie Kremla — Plac Czerwony, Plac 50-lecia Października, Plac Rewolucji. Wiec odbywa się w nastroju pełnym powagi. Wszyscy zdają sobie sprawę z zagrożenia wynikającego z napiętej sytuacji międzynarodowej dla osiągnięć ich kraju. O tym zagrożeniu mówi się zresztą tak wiele w tych dniach jubileuszu w trzech programach tutejszej telewizji, na wiecach protestacyjnych w zakładach pracy. Na oficjalnej trybunie przedstawicieli władz partii i państwa brak Jurija Andropowa. Niepokój budzą pogłoski o tym, że jest poważnie chory. To wszystko powoduje, że ta gigantyczna uroczystość nie jest tak radosna i beztroska jak zwykle.

Po wiecu tradycyjna defilada wojskowa. Oglądam ją już z okna pokoju hotelowego, gdyż jej trasa wiedzie przez ulicę Gorkiego. Stąd, z 20 piętra mam najlepszy widok na kawalkadę czołgów, pojazdów rakietowych, wozów opancerzonych, amfibii, która ciągnie całą szerokością ulicy. Na tych wszystkich pojazdach wyprężeni żołnierze w paradnych mundurach salutują widzom stłoczonym na chodnikach.

Wieczorem, również na Placu Czerwonym, pokaz ogni sztucznych. Tu atmosfera już inna, niefrasobliwa, pełna wesołości. Znów wielotysięczny tłum tak gęsty, że gdy usiłowałem później wydostać się z niego, by wrócić do hotelu, straciłem prawie wszystkie guziki przy kurtce. Każdy wielokolorowy kwiat ogni na niebie witano chóralnymi okrzykami uznania i podziwu. Oświetlane refleksami rakiet wieże Kremla i cerkiew Wasyla Błogosławionego wyglądały jak fantastyczny sen o architekturze. W tłumie tym razem najwięcej było młodzieży i dzieci. Zachowywała się ta młoda publiczność dość swobodnie, wznosiła różnorodne okrzyki, przeciskała się całymi grupami z miejsca na miejsce, słowem szumiała i demonstrowała swoją obecność różnymi sposobami.

Po zakończeniu widowiska znów cała ludzka rzeka ruszyła w ulicę Gorkiego i tam płynęła do późnej nocy.

Na drugi dzień nasza grupa złożyła wiązankę kwiatów w Mauzoleum Lenina. Posuwając się w olbrzymiej kolejce do Mauzoleum rozpoczynającej się w Ogrodzie Aleksandrowskim zobaczyliśmy, że pod murem kremlowskim na wszystkich marmurowych blokach, pod którymi znajduje się ziemia przywieziona tu z Miast-Bohaterów ostatniej wojny, w dniu święta Rewolucji złożono wiązanki świeżych kwiatów. Jak wiadomo do miast takich zaliczono Leningrad, Kijów, Mińsk, Wołgograd, Sewastopol, Odessę, Kercz, Noworosyjsk, Tulę, a także Twierdzę Brzeską. W miastach tych trwały najbardziej zacięte, najdłuższe walki i poniosły one w nich największe straty.

Dość trudno było zorganizować w Moskwie wieczory teatralne dla naszej grupy. Redaktor Mariusz Zinowiec z tygodnika „Przyjaźń" uparcie wędrował w godzinach przedpołudniowych po teatrach zdobywając po kilka biletów dla nas. Wieczorami więc nasz dziennikarski zespół rozbijał się na drobne grupki. Każda wędrowała do innego teatru na spektakl. Mówiono nam, że niezbyt dobrze wybraliśmy czas na zapoznanie się z najnowszym repertuarem teatrów. W dniach święta Rewolucji gra się tu na ogół spektakle sprawdzone, o charakterze okolicznościowym. Ja w Moskwie oglądałem tylko jeden spektakl w Teatrze Dramatycznym na Małej Bronnej. Była to, znana także w Polsce, sztuka Ignacego Skworieckiego: „Człowiek znikąd". Jest to właściwie reportaż sceniczny — próba stworzenia nowej formuły sztuki produkcyjnej. Do fabryki przychodzi jako dyrektor człowiek z zewnątrz, nie związany żadnymi układami, żadnymi więzami emocjonalnymi z załogą. Nie licząc się z nikim i z niczym zmierza bezwzględnie do wyśrubowania wyników produkcyjnych. Nie obchodzą go sprawy ludzkie, nie chce widzieć problemów i kłopotów robotników. Na tym tle powstaje głęboki konflikt między nim a załogą. Sztuka jest protestem przeciwko bezdusznemu menadżerstwu. Spektakl był zrobiony dobrze z ascetyczną surowością środków. Cała scenografia, to stół i krzesło na pustej scenie. Dobre tempo spektaklu, interesujące aktorstwo całego właściwie zespołu nie zdołało jednak nadać blasku świeżości tej sztuce, która już około 10 lat bywa grywana w tym teatrze.

A więc nie ten spektakl utkwił mi najbardziej w pamięci z pobytu w Moskwie. Uniosłem stamtąd żywe wspomnienia ze świątecznej atmosfery i z moich samotnych wieczornych wędrówek po Moskwie. Był to mój drugi pobyt w Moskwie po przeszło 20 latach. Chciałem zobaczyć co się w niej zmieniło, odtworzyć swoje dawne wrażenia. Błądziłem więc po wąskich starych uliczkach Kitajgrodu, po Arbacie, po rozjarzonym światłami, ultranowoczesnym Prospekcie Kalinina i po Pierścieniu Sadowym. Dostawałem zawrotu głowy od niespodzianek architektonicznych, od przeplatanki stylów i epok.

W starym Kitajgrodzie u stóp Kremla, który jest jedynym w swoim rodzaju skupiskiem zabytków budownictwa rosyjskiego z różnych epok i gdzie m. in. znajduje się przy ul. Razina przepiękny zespół zabytkowy cerkwi i klasztorów z XV, XVI i XVII wieku, stoi olbrzymi hotel „Rosja" z 1960 roku. Niedaleko stąd Prospekt Kalinina, szeroki, obudowany po obydwu stronach wysokimi, funkcjonalnymi wieżowcami już bez kolumn, wież, rzeźb i ozdóbek, bez pompatyczności charakteryzującej „pałace" z lat stalinowskich. W perspektywie ulicy widać znany gmach RWPG. Ale wśród tych nowoczesności pałacyk w stylu orientalnym czy pseudomauretańskim, w którym mieści się Dom Przyjaźni z Narodami Krajów Obcych. Niedaleko secesyjny dom, w którym mieszkał Gorki i znowu po tej samej stronie przepiękna stara cerkiewka barokowa. Pełno tu kontrastów, ulice wciągają więc do długich wędrówek, gdyż nigdy nie wiadomo z jakim rarytasem architektury można się będzie za chwilę spotkać. Wszędzie zresztą w centrum Moskwy stare, niekoniecznie zabytkowe kamieniczki sąsiadują z wielopiętrowymi bryłami gmachów, wąskie, kręte zaułki z wielkimi placami i szerokimi arteriami. Można porównywać to miasto do olbrzymiej wsi, jak czynią to z przekąsem niektórzy leningradczycy, można twierdzić, że mu brak porządku architektonicznego, ale w tym przecież cały urok Moskwy i jej specyficzny, niepowtarzalny charakter.

KULTURA W ROKU 40-LECIA PRL

Będzie to w dużym stopniu rok realizacji zadań wytyczonych lub podjętych w latach ubiegłych — rozpoczął spotkanie z dziennikarzami minister kultury i sztuki — Kazimierz Żygulski. W końcowej fazie ustaleń znajdują się projekty ustaw o upowszechnianiu kultury oraz o instytucjach artystycznych, których uchwalenie przez Sejm jest sprawą niedalekiej przyszłości. Oba dokumenty są od dawna oczekiwane i postulowane, nie tylko przez środowiska, których bezpośrednio dotyczą.

Na kształt i zasięg naszego życia kulturalnego wpłynie też inny akt legislacyjny, choć związany z nim tylko pośrednio. Jest to wchodząca w życie od 1 lipca ustawa o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego, która nakłada na terenowe organy władzy znacznie większe powinności i odpowiedzialność za rozwój działalności kulturalnej, niż to jest obecnie. W ten sposób MKiS w większym stopniu skoncentruje się na funkcjach koordynacyjnych, także w stosunku do innych resortów, instytucji czy organizacji współuczestniczących w kształtowaniu i realizowaniu polityki kulturalnej.

Nie ma możliwości skoncentrowania wszystkich spraw kultury w jednym resorcie. Wynika to z samego charakteru kultury. Ustawa o resorcie, którym kieruję, przewiduje przede wszystkim funkcje koordynacyjne. Ale, oczywiście, koordynacja nie oznacza przyjęcia całości odpowiedzialności lub wyręczania kogoś. Tu chciałbym zwrócić uwagę na bardzo ważny element naszej polityki kulturalnej: międzyresortowy program w dziedzinie kultury języka polskiego. Będzie on kontynuowany, my zaś pełnimy w nim rolę koordynatora, a także instytucji, która dba o stworzenie warunków jego realizacji, m. in. o druk odpowiedniej ilości publikacji. Rok 1983 zamknęliśmy pod tym względem bezprecedensowymi osiągnięciami: wydaliśmy ok. 1,5 mln egz. książek, które służą na co dzień kulturze języka polskiego. Nie jest to tydzień kultury języka polskiego, ani miesiąc, lecz wieloletni program, mozolnie przygotowywany i realizowany.

40-lecie Polski Ludowej. Są pewne utrwalone schematy obchodzenia takich jubileuszy. Były one wielokrotnie krytykowane i słusznie, bowiem dominowała w nich sztampa, nabierały ceremonialnego charakteru. Powinniśmy w tym roku ograniczyć do minimum elementy ceremoniału, wspominek, dekoracyjności, natomiast chcielibyśmy widzieć ten rok jako rok twórczości. Ostatnie lata nie sprzyjały wielu jej dziedzinom, poczynając od spraw ekonomicznych, kończąc na znanych postawach ludzkich, po części apatycznych lub wręcz niechętnych do podejmowania zadań. Mamy obecnie inny klimat i sygnały ze środowisk twórczych, iż są one gotowe do nowego wysiłku. Nie zamierzamy ukierunkowywać tej twórczości, ani tematycznie, ani jeśli chodzi o ogólny nastrój. Chodzi o to, aby odpowiedzią środowisk kulturalnych na 40-lecie była wszelkiego rodzaju twórczość, i ta najbardziej ambitna o międzynarodowym uznaniu i perspektywach, i nie mniej cenna, amatorska, ludowa, która jest i pozostanie ważną częścią kultury narodowej i społecznej Polski.

Z myślą o stymulowaniu twórczości, powołano instytucje, które w pełni będą funkcjonować w tym roku. Na czoło wysuwa się Fundusz Literatury, o którego utworzenie środowisko to od lat zabiegało. Jego środki czerpane będą z Funduszu Rozwoju Kultury, co stwarza ustawową gwarancję kontroli dysponowania jego zasobami. Fundusz Literatury, jeden z podstawowych instrumentów mecenatu państwa, będzie służył przede wszystkim finansowaniu debiutów. Państwowy Fundusz Zamówień Plastycznych, z którego zasobów skorzystało w ub. r. kilkaset osób, powinien inspirować do tworzenia dzieł o trwałych wartościach dla kultury narodowej. Ułatwieniu startu zawodowego absolwentom szkół artystycznych służyć ma system stypendiów twórczych.

W gestii resortu znajdują się sprawy związane nie tylko z programowaniem działalności kulturalnej, lecz również dziedziny produkcyjne. Podstawowe znaczenie ma tu poligrafia, której zły stan wymaga udzielenia jej jak najszybszej pomocy. Środki MKiS są niewystarczające, dlatego niezbędne stają się dotacje z budżetu państwa.

Dziedziną, która w tym roku znacznie się ożywi, będą nasze kontakty kulturalne z innymi krajami, poważnie zahamowane i ograniczone na początku lat 80-ych. Szczególnie dążyć będziemy do odbudowy i rozszerzania współpracy z naszymi najważniejszymi partnerami, jakimi są kraje socjalistyczne. Wzbogaceniu tych kontaktów sprzyjać będą obchody 40-lecia Polski Ludowej, które staną się okazją zorganizowania pierwszych po paroletniej przerwie wszechstronnych prezentacji naszego dorobku. Duży zasięg i rozmach będą miały „Dni Kultury Polskiej" w ZSRR. Podobne imprezy, choć w skromniejszym wymiarze, przygotowujemy w Czechosłowacji i Bułgarii, a także w innych bratnich krajach. Zamierzamy również odnowić i podtrzymywać kontakty z naszymi tradycyjnymi partnerami w krajach kapitalistycznych oraz z krajami rozwijającymi się. Sukces ubiegłorocznej wystawy polskiej sztuki w centrum Pompidou w Paryżu stwarza pomyślne prognozy; z kolei w przyszłym roku podobna ekspozycja sztuki francuskiej zorganizowana będzie w Polsce.

W miarę środków i możliwości, będziemy starać się zapewnić obecność na polskich scenach i estradach wybitnych zespołów i solistów z zagranicy; reaktywujemy międzynarodowe imprezy odbywające się w naszym kraju, co jest niezbędne dla utrzymania pozycji gospodarza wydarzeń wysoko cenionych w świecie. W tym roku znajdą się wśród nich: Biennale Plakatu, Grafiki, Festiwal Piosenki w Sopocie. (PAP)

MÓWIĄ TWÓRCY

W KAŻDYCH WARUNKACH MOŻNA COŚ ZROBIĆ

(Rozmowa z Tadeuszem Hołujem, prezesem Oddziału ZLP w Krakowie)

— W „Szkicach o przypadkach utworów", które są rodzajem pamiętnika wspomina Pan swoich kolegów uniwersyteckich: Tadeusza Kwiatkowskiego, Wojciecha Żukrowskiego, Mariana Pankowskiego, Karola Wojtyłę — ludzi wybitnych, o wielkiej indywidualności i bardzo różnych drogach życia. Czy był to przypadek, że stanowili w młodości wspólne grono?

— W pewnym stopniu przypadek, ale polonistyka skupiała wtedy zdolnych ludzi. Przyciągały do niej wielkie autorytety naukowe, jak Stanisław Pigoń, Stefan Kołaczkowski, Kazimierz Wyka. Była też więź studencka — wspólne zajęcia spotkania, wieczory autorskie dyskusje i rozmowy. Grupa ta jednak w 1939 roku nie szła „noga w nogę". Kwiatkowski z Wojtyłą trzymali się razem, pracowali w teatrze konspiracyjnym podczas okupacji. Żukrowski dość wcześnie wyjechał z Krakowa. Cóż, wspólne studia nie zawsze decydują o wzajemnych więzach duchowych.

— Napisał Pan również, że istotnym dla Pana poglądów był rok 1936, gdy w „Krakowie w marcu od kul padli robotnicy".

— Był to rzeczywiście rok w Polsce bardzo burzliwy. Także przełomowy w sytuacji międzynarodowej. Wybuchła wojna włosko-abisyńska, wojna domowa w Hiszpanii. Poglądy młodzieży radykalizowały się. Był to również rok mojej matury i pierwszego tomiku poezji. Współpracowałem z pismem licealistów „Kuźnia Młodych", które było pismem lewicującej młodzieży prorządowej. Wtedy w obozie sanacyjnym była tak zwana lewica. Później wymknęła się ona spod kontroli rządu. Rozpiętość tej młodej lewicy była ogromna — Ryszard Matuszewski, Maria Turlejska, Kazimierz Brandys, poeta-liryk Jan Twardowski (obecny ksiądz).

— Pana doświadczenia oświęcimskie — numeru 62937, mogły jednak także zmienić Pana przekonania i ideologię, na przykład w kierunku mistycznym, a tak się nie stało.

— Były to przecież doświadczenia ogromne i każdy je przeżywał inaczej. Wybory światopoglądowe były również bardzo indywidualne i zróżnicowane. Ja byłem w komitecie międzynarodowego ruchu oporu. Pracowałem w kancelarii szpitala obozowego, gdzie skupiała się lewica. Pracował tam także m. in. Józef Cyrankiewicz. W obozie nawet praktyki religijne miały inny wymiar. Były także formą oporu. Przecież nabożeństwa, sakramenty, opłatek, modlitwy odbywały się w ukryciu, w konspiracji. Przeżycia obozowe są tym doświadczeniem osobistym, które w nas pozostaje. Poznawało się ludzi, ich postawy — to ogromny kapitał przeżyć, z którego czerpie się przez całe życie. Człowiek żyjący w normalnych warunkach ma ograniczoną ilość przeżyć osobistych. Natomiast w krańcowych sytuacjach, w warunkach obozowych, wszystko było niesłychanie pomnożone i zagęszczone w czasie. Jest różnica między czasem normalnym „czasem biologicznym", a „czasem koncentracyjnym". W „koncentracyjnym" przeżywa się znacznie więcej i głębiej — mimo że jest to ta sama liczba dni i godzin co w „czasie biologicznym". Poza obozem także kilka razy przeżyłem taki „czas koncentracyjny", ale już bez tego zagrożenia śmiercią. Z tym, że w moim osobistym doświadczeniu lata obozowe określiły mój stosunek do życia w ogóle. Ludzie, którzy wyszli „stamtąd", czują się jak na urlopie, każdy dzień życia jest jakby darowany, każde dobro traktują jako czysty zysk. To tkwi w podświadomości.

— Czy określa także pragmatykę działania — w pracach społecznych, w środowisku pisarzy?

— Oczywiście. Jest się przekonanym, że w każdej sytuacji, nawet najtrudniejszej, da się zrobić coś pozytywnego. Bo skoro w ekstremalnych warunkach obozowych można było działać, to tym bardziej w każdych innych nie zagrożonych śmiercią. Ale prace społeczne nie idą łatwo. Wymagają wzajemnej lojalności i uznania wagi celów nadrzędnych. Środowisko ma natomiast swoje animozje, urazy i ambicje.

Ale nie tylko ze względu na własne środowisko są trudności. Upadła np. poprzednia forma „Kuźnicy" jako stowarzyszenia, a jednak z miejsca powołaliśmy „Ośrodek kultury — Krakowska Kuźnica", aby nie stracić aktywności grupy, która tutaj działała. Staramy się uaktywnić społeczeństwo, młodzież, organizując spotkania, odczyty, wieczory autorskie. Powołaliśmy w Krakowie trzy pisma środowiskowe: „Zdanie", „Pismo" i „Kraków". Powstały nowe sceny — przy teatrze „Bagatela" i scena satyryczna „Maszkaron".

Czy docieramy w szerokim zakresie? Pewnie — nie, ale jest to „działanie kropli wody", systematyczne. Możliwości percepcyjne ludzi także są ograniczone — brakiem wolnego czasu i sytuacją polityczną kraju. Nie chcemy też zastępować innych stowarzyszeń i organizacji, które tu działają. Udaje się nam poszerzyć krąg ludzkiej aktywności. Ci, którzy tu przychodzą, także robią coś w swoich środowiskach. Np. jeden z „kuźniczan", który przeniósł się do Rzeszowa, założył tam również klub inteligencji twórczej. U nas ci ludzie znajdują właściwy klimat i pomoc. Organizujemy teraz np. krakowskiego „Pegaza" telewizyjnego, aby pokazać to, co udało się nam zrobić w Krakowie.

— Czy sytuacja w ZLP, któremu przewodniczy Pan w Krakowie, wygląda podobnie? Mam na myśli nie tylko akty „dobrej woli" państwowego mecenasa, ale wywiązywanie się ZLP ze swoich powinności.

— W tej chwili w ZLP w Polsce jest około 500 członków, wyłącznie z byłego związku, a około 100 podań nowych, którzy dotąd nie byli w tej organizacji, czeka na rozpatrzenie. Mimo potwornego bojkotu i silnej presji ludzi niechętnych ZLP — podania nadal napływają. Ci „nowi" nas potrzebują. Spodziewają się jakiejś ogólnej pomocy literackiej, chociażby współdziałania nad polepszaniem sytuacji wydawniczej, księgarskiej, bytowej. Także ułatwiania kontaktów zagranicznych, uczestnictwa w życiu związkowym, możliwości prezentowania się na zewnątrz. Powstanie Funduszu Literatury, który wprawdzie nie jest wyłącznie w naszej gestii dyspozycyjnej, jak byśmy sobie tego życzyli, także wiele spraw usprawni. Chociażby stypendia, które mają wynosić około 15 tys. zł co pozwoli oderwać się twórcy od innych zajęć zarobkowych i poświęcić się wyłącznie pisaniu.

Związek zdołał jednak już co nieco zrobić. Podniesiono honoraria autorskie, ukazują się książki „przytrzymane", nie ma zakazu „nazwiskowego" w wydawnictwach. Jest to również zasługa właściwej polityki kulturalnej. Dlatego sądzę, że w miarę upływu czasu coraz większą wagę w środowisku literackim przywiązywać się będzie do statusu literatury w Polsce i rzeczywistego wpływu na życie kulturalne narodu — niż do dominacji poszczególnych ugrupowań i ich „odcieni".

— Wracając do twórczości — jedna z najatrakcyjniejszych Pana książek, powieść o Ludwiku Waryńskim „Róża i płonący las" chyba nie znalazła się w lekturach szkolnych, chociaż jest jedną z nielicznych pozycji przybliżających żywy wizerunek postaci tak ważnych w naszej historii.

— Powieści biograficzne nie mają u nas dobrych tradycji. Albo były pisane w sposób „alkowiano-plotkarski", albo apologetycznie jak żywoty świętych. Historia również nie zajmowała się postaciami z ruchu robotniczego w sposób rzetelny. Pisząc moją książkę musiałem przebijać się przez gąszcz papierzysk, dokumentów, szperać, wyszukiwać. Powinni byli to zrobić przede mną badacze historii. Są np. bardzo bogate materiały informacyjne zawarte w raportach szpiclów, notujących takie szczegóły, jak wygląd zewnętrzny, sposób ubierania się, dokładny rozkład zajęć itp. Dopiero po mojej książce ukazał się „Ludwik Waryński" — Jerzego Targalskiego, poważna praca historyczna oparta na dokumentach, dzięki której skorygowałem kilka faktów w mojej powieści w przygotowywanym obecnie jej wznowieniu przez Wydawnictwo Literackie. A co do lektur — to nie wiem, czy wstawienie tej pozycji do obowiązkowego zestawu byłoby dla mnie jako autora korzystne. Na ogół młodzież nie lubi tej „obowiązkowej literatury szkolnej".

— Czy podjąłby się Pan raz jeszcze takiej pracy nad autentyczną postacią historyczną?

— To ogromny trud. Z tej epoki jest wiele interesujących postaci, np. Maria Bohuszewiczówna, Maria Jankowska, zresztą cały okres I Międzynarodówki jest dla pisarzy niezwykle interesującym tworzywem literackim.

— A współczesność? Jest ona Panu także nieobca: powieść „Osoba", opowiadania zamieszczane w cyklu „To".

— Jest na ogół regułą, że pisze się o swoim pokoleniu, o tym, co się przeżyło najbardziej i najmocniej. Szczerze zazdroszczę pisarzom, którzy potrafią natychmiast reagować i mają na to czas, by zaraz usiąść i napisać. U mnie ta najświeższa współczesność musi się trochę „odleżeć". A poza tym wciąż jeszcze nie wyczerpałem własnej biografii, to znaczy doświadczeń i przeżyć.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała WANDA JESIONOWSKA
(Krajowa Agencja Robotnicza)

KRONIKA KULTURALNA

ZWIĄZEK POLSKICH ARTYSTÓW MALARZY I GRAFIKÓW

19 bm. powstał Związek Polskich Artystów Malarzy i Grafików. W ten sposób dobiegł końca proces odbudowy stowarzyszeń twórczych we wszystkich środowiskach. Przewodniczącym zarządu tymczasowego Związku został Mieczysław Wejman.

NAGRODY MINISTRA

W dorocznym konkursie Ministerstwa Kultury i Sztuki na najlepszego użytkownika obiektu zabytkowego, wśród laureatów III nagrody za rok 1983 znalazł się Urząd Miejski w Przemyślu za przeprowadzenie prac konserwatorskich w pochodzącej z końca XVI wieku kamienicy nr 5 w Rynku. Wyróżnienie otrzymał Państwowy Ośrodek Hodowli Zarodowej w Brzozowie za uratowanie i zagospodarowanie XVIII-wiecznego zespołu parkowo-pałacowego w Grabownicy.

CENTRUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ

Minister kultury i sztuki powołał Centrum Sztuki Współczesnej. Mieścić się ono będzie w odbudowanym Zamku Ujazdowskim w Warszawie.

PRZYJAŹŃ

Współdziałanie TPPR z klubem publicystów „Przyjaźń" SD PRL, który skupia ponad 200 członków, umożliwi prasie polskiej lepsze informowanie o dniu dzisiejszym Kraju Rad. Zachętą w podejmowaniu tematów dotyczących Związku Radzieckiego, stanie się ustanowienie nagrody im. Wandy Wasilewskiej.

STUDENCI PRZECIW NARKOMANII

Rada Naczelna ZSP wspólnie z Polskim Towarzystwem Higieny Psychicznej i młodzieżowym ruchem na rzecz przeciwdziałania narkomanii „Monar" organizuje cykle seminariów na tematy higieny psychicznej, psychonerwic i przeciwdziałania narkomanii. Autorzy tej inicjatywy liczą na szeroki udział studentów, zwłaszcza kierunków nauczycielskich, którzy w swej pracy zawodowej mogą natknąć się na problemy narkomanii.

MUZEUM IŁŁAKOWICZÓWNY

W pierwszą rocznicę śmierci Kazimiery Iłłakowiczówny otwarto w części jej mieszkania w Poznaniu pracownię pisarki. W pomieszczeniu zachowano wszystkie meble, księgozbiór i przedmioty osobiste poetki.

CZY LUKA INFORMACYJNA?

Raport Ogólnopolskiej Rady Młodych Pracowników Nauki ZSP stwierdza, że tylko 4 procent młodych naukowców posługuje się 3 językami obcymi, 28 proc. przyznaje się do biegłej znajomości dwóch, 44 proc. oprócz polskiego zna jeszcze jeden język, zaś 23 procent, czyli co piąty mówi i czyta wyłącznie w języku ojczystym.

TWÓRCZOŚĆ ROBOTNIKÓW

W czerwcu 1983 roku Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury zorganizowało w Kazimierzu plener malarski dla swoich członków. Dorobek pleneru można oglądać w KMPiK na Nowym Świecie w Warszawie.

FILMY BATALISTYCZNE

Od 22 lutego w wielu kinach naszego regionu rozpocznie się przegląd filmów związanych tematycznie z 66 rocznicą utworzenia Armii Czerwonej. Filmom będą towarzyszyły wystawy plakatów.

WIĘCEJ LEKTUR

Przewodniczący Rady Krajowej PRON Jan Dobraczyński skierował list do redaktorów naczelnych niektórych pism z prośbą o podjęcie druku lektur szkolnych. Na list ten odpowiedziały już m. in. redakcje „Żołnierza Polskiego" i „Żołnierza Wolności".

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

Artur B. — Sanok: Nadesłany nam przez Pana zestaw wierszy jest dość interesujący. Świadczy o wrażliwości autora na uroki natury, o jego refleksyjności, skłonnościach do egzystencjalnej zadumy. Jest w nich sporo kultury literackiej. Ale ich zasadniczą wadą jest brak dyscypliny słowa, brak zwięzłości, a także środków wyrazu charakterystycznych dla poezji — metafor, parabol, elips i jakichkolwiek innych. Są to po prostu prozatorskie refleksje czy sentencje, którym brak właściwości niezbędnych „mowie wiązanej". Warto pisać dalej, ale trzeba troszczyć się o większą dyscyplinę słowa, tępić wodolejstwo w języku i więcej czytać dobrych poetów.

„Mleczko" — Stalowa Wola: To co nam Pan przysłał to istotnie utwory jak Pan pisze „fraszkopodobne" a nie fraszki. Są to najczęściej banalne powiedzonka z kolejek lub towarzyskich pogwarek gorzej czy lepiej zrymowane. Brak im dowcipu, odkrywczości i finezji. Takie utworki jak: „Drogie alimenta // bo bliźnięta", albo „Już był na zewnątrz // z wielkimi łupami // w tym głos usłyszał // Pan pozwoli z nami"..., nie są nawet w przybliżeniu podobne do fraszek. Może tylko czterowiersz „O zachodzeniu" zasługuje na jakąś uwagę. — „Zachodził do niej co noc // cichutko jak złodziej // odkąd ona zaszła on już nie zachodzi//". Ale to za mało na 33 „niby fraszki".

P. Tadeusz Zdziebło: Prosimy o kontakt z redakcją. Wiersze świadczą dość dobrze o możliwościach autora. Warto próby kontynuować.

P. Jarosław B.: Wiersze bełkotliwe o całkowicie rozkojarzonym toku myślowym są objawem czystej grafomanii. Nie sądzę, by mógł Pan żywić jakąś nadzieję na sukces w poezji. Pisze Pan m. in. taką strofkę: „Na stoku gór cydateli // Mróz rozkoszą piersi twoje bieli // znużony w otchłań samozwańczej tęsknoty // jak labirynt głaszczący moje stopy"... Przecież to nic nie znaczy, nie ma w tym żadnego sensu.

Listy do przyjaciela

Nietolerancja w sztuce polega na bezsensownej zawiści. Ileż to razy słyszałeś takiego pancernika, który stoi przed obrazem i szydzi:

— To jest , panie, jajecznica, gdzie on widział takie niebo i taki śnieg?

Rzecz w tym, że ten co malował, naprawdę widział niebieski śnieg i chmurę w kolorze indygo oraz morze czerwone. A ten, który go krytykuje, na całe życie przyjął dogmat, że śnieg jest biały, niebo niebieskie, a morze ma kolor morski, co dla jednych znaczy niebieski, dla drugich zielonkawy jak oczy kota. I jeśli zobaczy niebieskie poświaty śniegu na płótnie Fałata — to jeszcze pół biedy, bo o Fałacie słyszał, że kosztuje kilkaset tysięcy, więc niech tam, przebaczymy mu niebieskie śniegi; jak niebieski śnieg namaluje Kowalski — Kowalski jest osioł i pacykarz. Kiedy Kowalski się broni i mówi o walorach, pancernik nie słucha. Bo pancerniki mają to do siebie, że siedzą głową w żelaznym garnku, do którego może docierać szum informacyjny, ale informacja z zakresu wiedzy garnka już się nie przebije.

Pancerniki się nie uczą, tylko krytykują, bo one już wszystko wiedzą. Oczywiście byle jak. Raz się naumiały, że śnieg jest biały, i choćby nad śnieżną łachą sam Bóg rozwiesił tęczę, to on i tak będzie biały, bo pancernik nie ma oczu do patrzenia, tylko r o z u m e k. I pancernik rozumuje oczywiście po swojemu, z żelazną tępotą.

On kupuje książki, Przyjacielu zwłaszcza te z ładną obwolutą, najlepiej twardą, bo będzie trwalsza, jak but na skórzanej podeszwie jest trwalszy od szmaciaka.

Pancernik, bywa, że zna rynek, wie po ile są fałaty, fabijańskie i stachiewicze. Te ostatnie nawet mu się podobają, bo te kobiety „są kobiece", mają słodkie usta, przepastne oczy, i są ubrane jak damy. Więc wiesza ten towar chętnie nad biurkiem, czasem jeszcze przykrywa folią, żeby towar się nie kurzył.

Pancernik bywa na wystawach i zna kurs obrazu współczesnego; czasem więc zapytuje, kogo o p ł a c i się kupić, na kogo się stawia w tym towarzystwie.

Pancernik ma wokół siebie grupę ekspertów; broń Boże nie po to, żeby się czegokolwiek nauczyć od nich, ale po to, żeby byli jego oczami i dbali o jakość transakcji.

Pancernik — to już nie jest ten, co mówi: w a m p i r y, c e c e s j a, b i d e t m a j e r y, skądże! Pancernik wie, że empirowy stołek jest wartościowszy od stołka wiktoriańskiego, że na secesję jest renesans, a biedermayer to był solidny styl, po który warto się wybrać do Henrykowa, bo tam jest wszystko jak nowe, na solidnych klejach.

Pancernik przetapia dwa kilo złomu srebrnego na gałkę do balustrady swojego szaletu, bungalowu czy daczy, zawiesza przodka nad kominkiem i stawia dagerotyp w pluszowych ramkach na widocznym miejscu, by chytrze wtrącić: to po babci, a tu jest dziadek, ten, dla którego oszalała Lubomirska.

On wie, co idzie u pana Polańskiego w Wiedniu i pana Paciorkowskiego w Londynie oraz po ile stoi kilogram srebra w Monachium.

On już dawno przestał wybrzydzać na Picassa; niech sobie będzie oko na biodrze, skoro to tyle kosztuje, ma prawo patrzeć, skąd chce.

Pancernik ma sejfy, szuflady, schowki, a w nich swoje dzieła sztuki. Czasem w niedobrej wilgotności sejfu puchnie niebieski śnieg Fałata, czasem pajączek wchodzi pod folię i nadgryza kosztowną akwarelę. Ale to wszystko jest towar, cymes, procenty.

Ciekawią mnie gawędy z nimi, Przyjacielu, są też pouczające. Pewien siebie, siedzi przede mną, rozwalony w niewygodnym bidetmajerze i mówi: to było w Desie na Starym Mieście, dwadzieścia wtedy — dziś stówa, to wisiało na Targowej, sto pięćdziesiąt w siedemdziesiątym — dzisiaj milion, to było u baby w Klimontowie, zdjęła ze ściany za stołek z cedetu, a Iksiński daje dziś osiemdziesiąt...

Pięknie bywa na ścianach u pancerników, w pokojach zaduch, w sercach ziąb.

Co wart niebieski śnieg Fałata, kiedy przeliczysz go na stówy, a oczy masz w garnku?

Co wyrównać mają te stówy, kiedy nawet pancernik widzi twoje lekceważenie, którego nie potrafisz ukryć?

Więc walił tą swoją obronną retoryką:

— Gdzie on widział niebieski śnieg, ten pacykarz?

I jest w tym pytaniu cała zawiść niedouka. Cała nietolerancja.

I pytanie zawisa w próżni, jest stęchłe jak nieprzewietrzona szafa gdańska, skupiająca szaty, w które już nikt się nie ubierze, bo w złotogłowiu nie da się pędzić pomidorów pod folią.

Co i napisawszy, lecę na spotkanie z takim jednym, który zadzwonił, że kupił Olgę P o z n a ń s k ą... i jak pani chce zobaczyć, to pokażę. Taki niezbyt wyraźny bukiet. Równe osiemset; za rok będzie milion.

No to i jak się oprzeć przed zobaczeniem bukietu za osiemset, w dodatku P o z n a ń s k i e j Olgi? Muszę kończyć, Przyjacielu.

KRYSTYNA

Balanse i NIUANSE

Aby wprowadzić Czytelników w zagadnienie, pozwolimy sobie na przypomnienie, co to takiego dreszczowiec. Jest to powieść, opowiadanie, film o treści budzącej strach, zgrozę, wywołującej dreszcze emocji, obaw, stawiającej włosy na głowie dęba. Dreszczowiec nazywany jest też horrorem.

Dreszczowce-horrory wyświetlane są często przez naszą TV w późnych godzinach wieczornych, aby nie oglądały ich dzieci. Dreszczowce pochodzą najczęściej z innego niż nasz obszaru płatniczego. Widzieliśmy dość często takie, które mogły być pokazywane maluchom na dobranoc, ale ogólnie rzecz biorąc były fajne i do śmiechu. Ostatnio, z przyczyn oszczędnościowych, czyli braku twardej waluty, telewizja nasza zaczęła produkować własne dreszczowce. Mają one głęboką wymowę społeczną, dydaktyczną, wychowawczą, demaskatorską. Cechują je też głębokie walory poznawcze.

W jednym z nich głównym bohaterem jest lekarz (bodaj anestezjolog), którego los rzuca za morza i oceany. Przybywszy tamże, lekarz osaczony zostaje przez tajemne siły, rzucające mu olbrzymie kłody pod nogi. Nikt nie chce owego lekarza dopuścić do leczenia miejscowych pacjentów. Nikt nie wyraża chęci zatrudnienia go na stanowisku dyrektora szpitala czy nawet ordynatora. Widzami wstrząsają dreszcze grozy, kiedy dowiadują się, że lekarz (!) zmuszony zostaje do przyjęcia pracy sanitariusza, czy salowego, wykonującego przy chorych najprostsze (i nie najprzyjemniejsze) posługi.

Inny dreszczowiec (emitowany przed kilkoma dniami), ukazuje krakowskie małżeństwo w średnim wieku. Udało się ono „w celach turystycznych" do Austrii, gdzie według jakiejś znajomej czeka na nie grubszy szmal, willa z basenem i różne inne udogodnienia życiowe. I znowu tajemne siły. Upychają one nieszczesnych krakowian w obozie dla uchodźców, bez komfortu i z podłym żarciem.

Kiedy groza sięga niemal zenitu, świta promyk nadziei: Australia. Skoro Kościuszko ma tam własną górę, oni, niemal świadkowie jego przysięgi na Rynku, na pewno otrzymają coś mniejszego, ale godnego ich krakowskiego pochodzenia. Siły prześladowcze nie ustają jednak w nękaniu wygnańców. Nie ma szmalu, nie ma dachu nad głową, nie ma „zwyczajnej" pracy. Wstrząsani zwierzeniami owej pary telewidzowie wraz z nią oburzają się, że byle australijski farmer (czyli chłop) nie chce zatrudnić polskiego inżyniera (?) przy wyrzucaniu gnoju.

HORROR...

Dreszczowców było jeszcze kilka i zapewne telewizja wynajdzie nowe ofiary międzynarodowego sprzysiężenia, które nie dopuszcza polskich „turystów" do udziału w światowym byznesie. Ba, nawet wprowadza tych turystów w błąd. Krakowianin na przykład żalił się, że nikt mu w Wiedniu nie powiedział, iż Australia jest tak daleko od Austrii. Utrzymywano go (jak sądzę) w przeświadczeniu, że skoro nazwa taka podobna, to Australia leży tuż tuż, za najbliższymi górkami...

Po oglądaniu tych rodzimych horrorów nie możemy spać, albo budzimy się z krzykiem. Poraża nas wizja jakichś monstrualnych tworów, czyhających na nas tuż na granicy krajów drugiego obszaru płatniczego. Drą nasze dyplomy, mylą kierunki, poniżają praca fizyczna, nie wpuszczają nas do bankowych skarbców pękających od nadmiaru zielonych banknotów.

Patrząc na zachodnie dreszczowce, uśmiechamy się z politowaniem. Jacy naiwni są ich bohaterowie, wierzący w duchy, w zemstę zza grobu, w niematerialne siły, fluidy. Jakże inne są nasze, wspomniane wyżej, dreszczowce! Nie ma w nich żadnej lipy, żadnej fantazji niezdrowej. Bohaterowie naszych dreszczowców w duchy nie wierzą. Wierzą za to w swój urok osobisty, w czułe serca, w nieograniczone możliwości zarobkowania i „załapania" się przy szmalu.

Chciałoby się wołać: jeszcze więcej takich zwierzeń przed kamerą, jeszcze więcej bohaterów ufających znajomym!

Przecież nie może tak być, żeby po obejrzeniu kolejnego horroru zacząć się rzeczywiście bać. Nie z nami takie numery! Strachy na Lachy!

Osobiście odrzucam insynuacje, że szkoda czasu, taśmy i prądu na pokazywanie raz po raz jakichś naiwniaków, pozujących na skrzywdzone dziewice.

Pokazujmy ich męczeństwo. Męczenników nigdy za dużo. Szczególnie jeśli są to męczennicy rozumu.

PASSUS

„07 ZGŁOŚ SIĘ"

ZANIM ZOBACZYMY ZNOWU BOREWICZA I ZUBKA

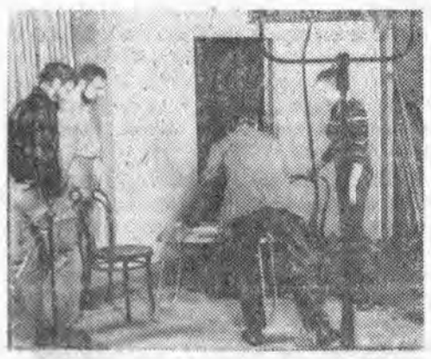

II reżyser Krzysztof Prymek (drugi z lewej) „nadzoruje" przygotowania do zdjęć próbnych.

Zdjęcia próbne rozpoczęte. Przed kamerą Elwira Dzikowska i Juliusz Krzysztof Warunek.

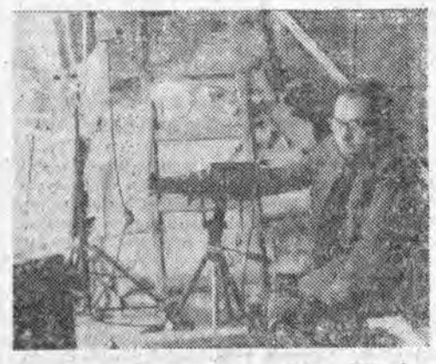

Przy kamerze operator Wiesław Rutowicz.

Długi korytarz. Po obu stronach drzwi, opatrzone napisami. Przy samym końcu korytarza na uchylonych drzwiach napis „07". Niewielki pokój, kilka biurek, szaf. Bezustannie dźwięczą telefony. W drzwiach ukazują się twarze młodych kobiet i mężczyzn. Niektóre dobrze znane ze sceny teatralnej, z ekranu.

Duża grupa ludzi schodzi do hali zdjęciowej, podzielonej na różne „budowle": pokoje, korytarzyki, schody. Gdzieniegdzie jakieś meble, elementy dekoracji, deski.

Wyodrębniony kącik między „budowlami". Stolik, dwa krzesła. Obok stolika mikrofon. Naprzeciwko kamera, po obu stronach reflektory. Za kamerą ławka, stół, kilka krzeseł. Kilkanaście stojących i siedzących osób.

— Uwaga! Zaczynamy! Proszę o ciszę!

Do stolika w głębi podchodzi para młodych ludzi. Siadają. Ostre światła reflektorów padają na ich twarze.

Rozpoczynają się zdjęcia próbne do nowych odcinków serialu „07 zgłoś się". To, co dzieje się przy stoliku, obserwować można także na stojącym obok kamery monitorze. Obecni oglądają równocześnie obraz „na żywo" i na małym ekranie, jak gdyby już w programie telewizyjnym.

Przy stoliku kolejne pary, pojedyncze osoby. Przedstawiają się, rozpoczynają dialogi, monologi. Czytają czasem własne kwestie, a wraz z nimi odpowiedzi swoich rozmówców. Po każdej próbie występujący przed kamerą mogą obejrzeć samych siebie. Włącza się wideokasety. Aktorzy bacznie wpatrują się w swoje twarze, wysłuchują swojej dykcji, sposobu interpretacji tekstu. A tekst jest różny. Pochodzi ze scenariuszy czterech odcinków o tytułach (roboczych jeszcze): „Skok śmierci", „Ślad rękawiczki", „Morderca działa nocą", „Bardzo bzdurny pomysł". Aktorzy wcielają się w różne postacie, w bohaterów negatywnych i pozytywnych, w przestępców, przedstawicieli półświatka, oficerów milicji. Nie ma na planie głównych wykonawców, ale także ich kwestie czytają zaproszeni na próbne zdjęcia aktorzy.

Dialog porucznika Borewicza z jakąś kobietą, narada u majora Wołczyka, rozmowa poruczników Borewicza i Zubka, kwestie sierżant Olszańskiej...

Obecni na zdjęciach próbnych aktorzy wiedzą, że nie zagrają tych ról, że nikt z nich nie zastąpi Bronisława Cieślaka, Zdzisława Kozienia, Ewy Florczak, Zdzisława Tobiasza. Ale tutaj mówią to, co już w filmach mówić będzie wiodąca czwórka. Nie wiedzą, czy i jaką rolę powierzy im reżyser, nawet jeśli odczytują kwestie „wolnych", nie obsadzonych przez wiążących cały serial aktorów.

Mijają godziny. Półgodzinna przerwa i ponowne zdjęcia. Kolejni aktorzy przed kamerą, kolejne, często powtarzające się kwestie.

Reżyser serialu Krzysztof Szmagier uważnie śledzi mimikę i sposób interpretacji tekstu. Podchodzi do kandydatów, udziela wskazówek, prosi o odczytanie innej kwestii.

Młodzi aktorzy z różnych miast, z różnych teatrów, wyraźnie stremowani obserwują swoich kolegów, „naczytują" teksty, które za chwilę będą sami interpretować przed kamerą, przed uważnym wzrokiem i słuchem Krzysztofa Szmagiera i towarzyszących mu II reżysera Krzysztofa Prynka, asystenta Krzysztofa Świetlika, operatora Wiesława Rutowicza, operatora dźwięku Jerzego Szawłowskiego.

Sceneria się nie zmienia. Ten sam stolik, te same krzesła. Twarze oddalone i w dużym zbliżeniu, tak, że widać każde drgnięcie. Z czytanego tekstu wynika, gdzie toczy się akcja i choć tło stanowi ciągle jakaś ściana z otworem drzwiowym, stos desek i listew, można sobie wyobrazić, że jesteśmy w cyrku, na lotnisku, w gabinecie majora Wołczyka, w klubie, w prywatnym mieszkaniu.

Udaje mi się przeczytać kilka fragmentów scenariuszy, nie będących przedmiotem prób. Szczególnie interesują mnie te sceny, w których występują Bronisław Cieślak i Zdzisław Kozień. Sceny nieraz pełne swoistego humoru: szybki, zdecydowany porucznik Borewicz i refleksyjny, sceptyczny porucznik Zubek doskonale się uzupełniają, tworzą parę, która przecież pamiętamy najlepiej z dotychczasowych piętnastu odcinków i którą chcemy zobaczyć w odcinkach kolejnych.

...Scenopisy, opracowywane wspólnie przez Krzysztofa Szmagiera i Wiesława Rutowicza są już gotowe. Różnią się one od scenariuszy, zawierają dokładne wskazówki do poszczególnych sytuacji i ujęć. W początkach marca rozpocznie się już kręcenie „na serio". W Warszawie, Augustowie i Sopocie rozgrywać się będzie akcja kolejnych odcinków. Przygotowywane są dekoracje, kostiumy. W każdym miejscu, gdzie powstawać będą poszczególne sceny, angażować będzie się statystów. Od kilkudziesięciu do dwu tysięcy, w zależności od miejsca akcji. Jeżeli np. w cyrku, to właśnie owe dwa tysiące statystów „grających" publiczność. Być może niektóre ujęcia dokonywane będą za pomocą ukrytej kamery. Wówczas przypadkowi przechodnie, czy klienci domu towarowego nawet nie zauważą, że znajdują się wśród nich aktorzy.

Żmudna praca czeka całą ekipę. Zanim jedna scena uznana zostanie za dobrą, może być powtarzana nawet 5—6 razy. Przyjdą długie dni wyczekiwania na odpowiednią pogodę, jeżeli akcja toczyć się będzie w plenerze.

Pod koniec roku cztery odcinki serialu „07 zgłoś się" mają być gotowe. I nie będą to chyba odcinki ostatnie, bowiem Krzysztof Szmagier ma podobno w zanadrzu nowe scenariusze.

Za kilka miesięcy ujrzymy zatem na ekranach telewizorów znowu poruczników Borewicza i Zubka, najbardziej znanych „oficerów MO" w walce z przestępczością.

Krzysztof Szmagier wyjaśnia aktorce, czego od niej w interpretacji tekstu oczekuje.

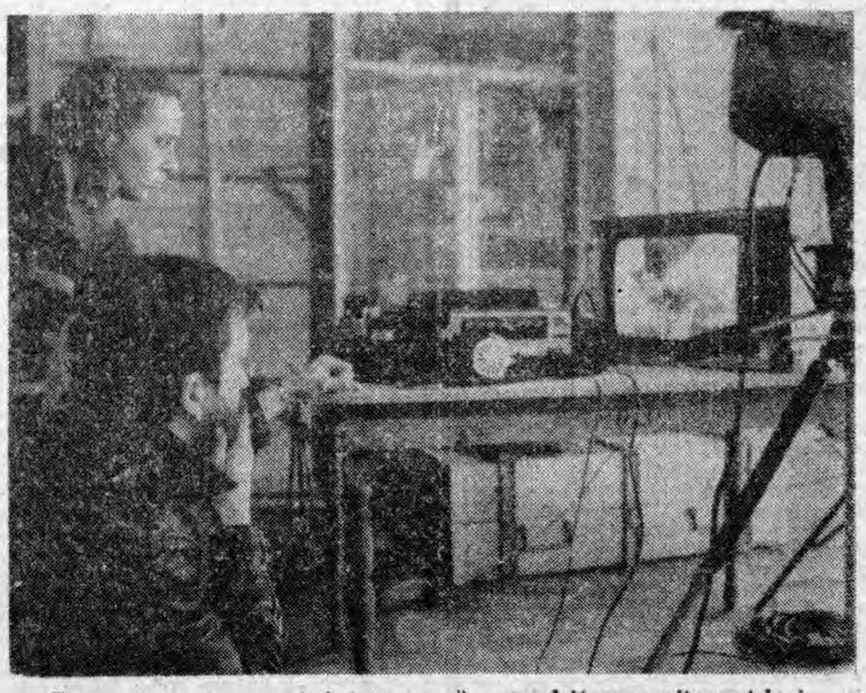

Teraz można to „przeżyć jeszcze raz", sprawdzić na monitorze jak się grało.

Zdjęcia: JERZY KOTWICA

wiadomości samowolne

(OLIMPIC SHORT EDITION)

Zakończyły się Zimowe Igrzyska Olimpijskie. Czas je podsumować i wyciągnąć wnioski. Ukazać raz jeszcze wszystkie sukcesy i przyczyny nielicznych niepowodzeń.

WARUNKI

Warunki na Igrzyskach były dobre, a nawet bardzo dobre. Ciepłe pomieszczenia mieszkalne, smaczne i treściwe posiłki. Gościnność i serdeczność. Znakomita organizacja.

Niestety, zdarzały się też niedopatrzenia organizatorów. Zaliczyć do nich należy po pierwsze mgłę, która uniemożliwiała n a s z y m zawodnikom obserwowanie trasy, po drugie — śnieg, który wiał prosto w oczy n a s z y m zawodnikom, albo był o wiele za miękki dla n a s z y c h zawodników, przyzwyczajonych do krajowego, twardego śniegu, po trzecie — lód, zbyt twardy i śliski dla n a s z y c h panczenistek, hokeistów oraz Grzesia, po czwarte — skocznie, mające za wysokie progi na n a s z y c h skoczków nogi.

INFORMACJA

Nasi sprawozdawcy dawali z siebie ile mogli, co łatwo było zauważyć i usłyszeć. Informowali na bieżąco, ile który(a) zawodnik(czka) ma lat, ile waży i mierzy, w jakim stroju występuje. Chwalimy dyskrecję sprawozdawców, nie ujawniających taktownie, jaki tryb życia prowadzą zawodnicy, i czym się różni tryb życia innych od trybu życia n a s z y c h zawodników.

CIEKAWOSTKI

Wśród wielu ciekawostek, jakimi raczyli nas nasi sprawozdawcy, szczególnie podobała nam się wiadomość, że w Igrzyskach występowali d w a j bliźniacy (Mahre) i d w i e bliźniaczki (Tlałkówny). Z niecierpliwością czekaliśmy na t r ó j k ę bliźniąt, ale nie doczekaliśmy się.

KONDYCJA

Zawodnicy byli czasem zbyt spięci, czasem na zbyt dużym luzie, ale zawsze czuli spoczywającą na nich ogromną odpowiedzialność. Niektórzy sprawiali olbrzymią niespodziankę, a niektórzy zawodzili zaufanie milionów kibiców.

ZAPOWIEDŹ

Ucieszyła nas zapowiedź, że po zakończeniu Igrzysk trzeba będzie wiele spraw przedyskutować, wyciągnąć wnioski i konsekwencje na przyszłość, usprawnić szkolenie, ustalić winnych. Wszystko po to, aby na następne Igrzyska mieć pewność.

Bardzo dobrze. Baliśmy się już, że po tych zawodach zapomni się o zwyczajowych czynnościach.

NASZE PODSUMOWANIE

Nie jest ważne, ile zdobyliśmy medali. Ważna była nasza obecność na Igrzyskach, która potwierdza pozycję polskiego sportu w świecie. Nadal zaliczamy się do potęg sportowych i znajdujemy się w ścisłej czołówce. Świadczy o tym choćby fakt, że wszyscy nasi zawodnicy uplasowali się w pierwszej pięćdziesiątce.

NASZE WNIOSKI

Przed następnymi Igrzyskami mówić i pisać namiętnie o świetnym przygotowaniu naszych zawodników. Informować na bieżąco, który z czołowych zagranicznych zawodników wycofał się z czynnego życia sportowego, który uległ ciężkiej kontuzji, przebył skomplikowaną operację itp. Poprawi to znacznie samopoczucie n a s z y c h sportowców i działaczy.

Do zobaczenia w Calgary!

HASŁO TYGODNIA

Nie martwmy się na zapas. Nasze zmartwienia również może ogarnąć inflacja.

Redaguje Serwacy Potulny z podzespołem

Stare... na nowe